Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

WIEM WSZYSTKO

50 GR

INFORMACYJNY TYGODNIK AKTUALNOŚCI

Nr. 13 Warszawa, Niedziela 19 kwietnia 1936 r. Rok I

Gangsterzy propagandy polskiej

Żyją po pańsku na biedzie Rzeczypospolitej

Prasa warszawska z tygodnia ub. domaga się stworzenia ministerstwa propagandy.

Wojna światowa, zacieśnienie kontaktu z Ameryką, szalony rozwój środków komunikacyjnych, wkroczenie do życia filmu i radja, wywołały prawdziwą rewolucję pojęć, burząc chińskie mury przesądów i uprzedzeń. Amerykańska „publicyty", stosowana coprawda do europejskich warunków i potrzeb, złączyła się nierozerwalnemi węzłami nie tylko ze wszelkiemi dziedzinami przemysłu i handlu, ale wkroczyła nawet w swym triumfalnym pochodzie do polityki, do urzędów, które broniąc się niczem Grenada, **musiały ustąpić przed nią.**

Propaganda idej politycznych, czy społecznych, reklamowanie kultury, sztuki, folkloru, czy walorów turystycznych stanowią przedmiot wysiłków wielu urzędów we wszystkich krajach. Niektóre z nich, chcąc skoordynować i zaprząc wszystkie środki (prasa, literatura, teatr, film, radjo) stworzyły **specjalne ministerstwa propagandy** (Włochy, Niemcy), inne podniosły urzędy propagandy niemal do godności **podsekretarjatów stanu** (Rumunja, Turcja, Rosja). Niema zaś zdaje się żadnego kraju gdzieby nie istniało biuro propagandowo - prasowe przy ministerstwie spraw zagranicznych, zajmujące się propagandą swego kraju zagranicą.

„MOCARSTWOWOŚĆ" NIE POZWALA NAM ZOSTAĆ W TYLE

Nie mamy w Polsce ministerstwa propagandy, ani nawet podsekretarjatu stanu dla tych spraw. Jeżeli jednak porównamy **pieniądze wydawane na cele propagandy** zagranicznej przez Węgry, Czechosłowację, czy Rumunję i przez Polskę, z rezultatami osiąganemi przez te państwa oraz przez nas, to dojdziemy do wniosku, że nasze pieniądze idą zupełnie w błoto.

I nie dajmy się zasugerować twierdzeniom różnych bubków, iż fundusze nasze na te cele są zbytnio skromne.

GANGSTERZY PROPAGANDOWI WE FRAKACH

Błędnem jest twierdzenie, iż Ameka zostawiła starą Europę daleko w tyle.

To nie prawda! Nawet Polska, o której nasi nadsekwańscy przyjaciele powiadają, że leży już niemal w Azji, dorównała Ameryce. No tak, jeśli nie w dziedzinie samochodów, to przynajmniej w dziedzinie gangsterów. Obok potężnych „gangów" filmowych, czy prasowych, wokół których skupiają się ludzie zdecydowani na wszystko jeśli idzie o wpędzenie tego złocisza do własnej kieszeni, mamy również niemniej zwarty i zgrany „gang" propagandzistów, ściślej mówiąc „propagrandziarzy", bowiem ich robota polega wyłącznie na t. zw. „grandzie".

Jest to grupa ludzi trzymająca się niesłychanie zwarcie między sobą, maskująca nawzajem swoje wpadunki, **rozdzielająca między „swoich"** wszystkie dziedziny propagandy polskiej zagranicą, niedopuszczająca wreszcie nikogo spoza „gangu".

Metody? Ach, to zgoła nieważne. Najważniejsze, aby „nabić w butelkę", zrobić „kant", nawalić „forsę", aby tylko mieć pieniądze!

Gdziekolwiek w Europie, czy nawet w Stanach Zjednoczonych odbywa się jakaś wielka wystawa, kongres, zjazd, doniosłe obrady polityczne — tam możemy być pewni, iż zastaniemy jeśli nie kilkunastu to przynajmniej kilku polskich „propagrandziarzy". To są ci lotni komiwojażerowie polskiej „publicity" w idealnie skrojonych frakach. Obok nich mamy również osiadłych „gangsterów", metodycznie i spokojnie **wyciągających olbrzymie, jak na nasze stosunki, sumy z ambasad i poselstw** na... propagandę sztuki, kultury, sportu, teatru, baletu, filmu (a jakże).

O ile tych pierwszych można porównać do lekko skaczących pasikoników, o tyle ci drudzy mogą śmiało nosić miano pijawek...

„REDAKTORZY" TRZYMAJĄ PRYMAT

W Polsce sprzedawali zapewne barchan na Bielańskiej, robili małe „kanty", żyli jak to się mówi z powietrza. Potem, kiedy ziemia poczynała się palić pod nogami — znikali zagranicę, wypływając nagle w jednej ze stolic Europy. W braku innego zajęcia chwytali za pióro i tłumacząc niezdarnie a koślawo artykuły prasy zagranicznej, posyłali „oryginalne" i „specjalne" korespondencje do prasy krajowej. Rozmaite „kurjerki" nastawione na taniochę chwytały chętnie tego rodzaju produkty „publicystyczne".

Owe typy spod ciemnej gwiazdy, skoro osiadły już nieco na tym zagranicznym gruncie zaczynały zajmować się... propagandą Polski. Panowie „redaktorzy" nie umiejący prawie mówić obcemi językami, przy równoczesnym braku umiejętności poprawnego wysławiania się po polsku, trzymają prymat w dziedzinie osiadłych „propagrandziarzy" zagranicznych.

TEN Z PARYŻA I TEN Z BERLINA

Znamy takiego „propagrandziarza" w Paryżu, słynnego mecenasa sztuki, korespondenta rozmaitych pism codziennych (niestety) i tygodniowych, który **skompromitował się niedawno fatalnie** w związku z pewną aferą wystawy polskich artystów w Paryżu.

Czy może wywalono go na zbity łeb z tego stanowiska propagandowego, czy pozbawiono go korespondentury poważnych skądinąd czasopism polskich? Nigdy w świecie, należy przecież do „gangu", największe więc błędy i skandale zostają starannie zatuszowane, a facet jak robił forsę, tak dalej nie przestaje, szastając się po naszej ambasadzie, klepiąc po ramieniu radców i sekretarzy, z hucpą właściwą swej nacji.

Albo naprzykład taki „redaktor", przedstawiciel Polskiego Komitetu Olimpijskiego w Berlinie. Dalecy jesteśmy od jakichkolwiek uprzedzeń rasowych, czy wiary w hasła wojującego antysemityzmu. Ale doprawdy chciałoby się zadać pytanie: czy na tysiące działaczy sportowych w Polsce nie znalazł się ani jeden człowiek, któryby mógł objąć to stanowisko w Berlinie?

Czy akurat właśnie w Berlinie to stanowisko **musi zajmować Żyd?**

To właściwie, mówiąc po cichu, wygląda na lekką prowokację w stosunku do władz sportowych Niemiec, iż taki pan „redaktor" nie umiejący zresztą pisać poprawnie po polsku, reprezentuje szanowną instytucję Polskiego Komitetu Olimpijskiego.

Jest to zresztą pan „redaktor" z przypadku, któregoby w Polsce przyjęto co najwyżej na młodszego pomocnika trzeciego skolei korektora w bardzo prowincjonalnem piśmie.

LATAJĄCY HOLENDER „PROPAGRANDZIARZY"

Zbyt mało ciekawi są ci panowie o nieokreślonych bliżej **zajęciach i dochodach,** abyśmy mieli się bliżej nimi zajmować. Raczej warto scharakteryzować ich metody, aniżeli postacie. Jednakowoż dla przykładu damy sylwetkę jednego z czołowych, latających polskich „propagrandziarzy". Jest filmowcem, człowiekiem sztuki, był w Hollywood, gdzie podłuczywszy nieco wiedzy filmowej... Cecila de Mille, Vidora i Sternberga, złamawszy serca... kilkunastu Gretom Garbo, musiał wyjeżdżać, gdyż... **nie odpowiadała mu tamtejsza atmosfera artystyczna!**

W Polsce realizował filmy od cyrkowych, aż do takich, które żerują na najświętszych uczuciach całego narodu, wystawiał sztuki w teatrach i... wystawał (to już osobiście) w przedpokojach ministerstwa na Wierzbowej. Możemy być pewni, iż przyjechawszy na sesję Ligi Narodów w Genewie, zjazd Pen - Clubu w Barcelonie, wystawę światową w Brukseli, pokaz filmów kolorowych, w Berlinie, czy pogrzeb króla Jerzego w Londynie zastaniemy tam naszego rodzimego hollywoodzistę.

Jest wszędzie, robiąc układnie-gumową twarz, bawiąc dyplomatów dowcipkami i wydając pieniądze, które w żadnym wypadku nie są jego własnemi.

Jest wszędzie, niewiadomo po co i dlaczego, komu zależy na tem, aby pokazywał swoją gumową buzię. Jednakże ma stosunki zagranicą, **umie opowiadać „kawały"** i jest układny. Robi więc propagandę i **reprezentuje Polskę** przy rozmaitych okazjach.

PSEUDO - MISTRZOWIE DYPLOMACJI

Rzesza Niemiecka z czasów przedhitlerowskich posiadała całą gromadę prasowo - propagandowych agentów, czy jakby to lepiej nazwać... prowokatorów. Gdziekolwiek miał miejsce jakiś wypadek ściągający uwagę całego świata, tam równocześnie zwalała się **gromada rozmaitych pseudodziennikarzy** i tajemniczych agentów dyplomatycznych, którzy konfidencjonalnie i „pod słowem honoru" zwierzali się przybyłym z całego świata prawdziwym dziennikarzom i prawdziwym agentom dyplomatycznym z rozmaitych „sekretów".

Była to stara zresztą metoda prowokowania pewnych wiadomości, które szły na rękę **ówczesnym kierownikom ministerstwa na Wilhelmstrasse.**

Nie wchodząc w celowość i skuteczność tych metod (dawały one zresztą niezłe wyniki) musimy stwierdzić, iż ludzie wspomniani byli swoistego rodzaju mistrzami w dziedzinie inspirowania tak ważnego instrumentu jakim jest prasa światowa.

Nasze bęcwały, nieszkodliwe typy propagrandziarskie, zdolne do drobnych stosunkowo kantów (nabierających wielkości dopiero na polskiem podwórku lub podwórku polskiej ambasady), usiłują teraz iść śladem tych właśnie agentów niemieckich.

Niezdarnemi, cielęco - naiwnemi metodami chcą inspirować wygi dziennikarskie prasy angielskiej, francuskiej, holenderskiej, czy włoskiej, gwoli robienia „publicity" pewnym idejom, czy nawet... koncepcjom polityki międzynarodowej. Może te metody są nawet konieczne, ale nie można powierzać tego rodzaju spraw mętnym bęcwałom, takim przeróżnym panom „redaktorom", czy typom w rodzaju naszego Latającego Holendra, bo to już nietylko kosztuje pieniądze, ale... i to głównie, prestiż Rzeczypospolitej.

PROPAGRANDA SZALEJE ZAGRANICĄ

Jeżdżą „luxami" albo samolotami, mieszkają w Ritzach czy Claridgach, jedzą, bawią się z dziewczynkami i... „amcą".

Są wszędzie, podejmują się każdej roboty, każdej misji. Niema rzeczy trudnych i nieosiągalnych. Narodowa wiara w cuda ma tutaj olbrzymie pole do popisu. Istotnie ci nasi spece propagandowi przypominają „cuda" fakira w Grójcu, czy Mławie.

Ci ludzie z nieprawdziwego zdarzenia, marnują w bezprzykładny sposób pieniądze, które winny iść **na rzetelną i skuteczną propagandę Pol-**

(Dokończenie na str. 2-ej).

»MILJONY« na stronie 6-ej

Sejsmograf z... lamusa

Co na to komisarz rządowy Giełdy stołecznej?

W prasie polskiej na widocznych miejscach znajduje się rubryka: giełda. Jest ona znacznie skromniejsza aniżeli identyczne rubryki w prasie np. francuskiej, niemieckiej, włoskiej, ba czeskiej czy austrjackiej. Jest również mniej czytana ale i mniej atrakcyjna. Te cyfry uważane są przez większość za jakieś znaki tajemnicze, których nawet się nie czyta.

Bo i po co?

U nas ludzie pod rubrykę giełdową conajwyżej szukają kursu dolara czy złotego rubla. Papiery wartościowe, akcje, to jakieś nieznane rzeczy. Otóż ten brak zainteresowania świadczy albo o tem, że społeczeństwo i życie gospodarcze niema zrozumienia dla operacyj giełdowych albo też, że giełda jako instytucja publiczna

nie spełnia swego zadania.

Szary gmach z wysoką kolumnadą przy ul. Królewskiej zasługuje by mu się nieco bliżej przyjrzeć. Wybierzmy godzinę, kiedy ożywia się nieco, a zatem południe. Przed wejściem tłok. Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że wszyscy krzątający się pilnie przed bramą mają zamiar wejść do gmachu. Bo oto u wejścia

stoi portjer w liberji,

legitymujący wchodzących i opędzający się gorliwie przed natarczywością zgromadzonych, usiłujących zamienić chociażby jeszcze słów kilka z wybrańcami zaopatrzonymi w prawo wstępu.

Wchodzącymi są członkowie giełdy, przyjęci przez radę tejże instytucji. Są to przedstawiciele banków zarówno państwowych, jak i prywatnych, kantorów wymiany oraz nieliczne osoby prywatne; czynne na polu finansowem. Pozatem urzędują w tym gmachu

zawodowi pośrednicy,

tak zwani senzale, mający za zadanie stwierdzić, że tranzakcja doszła do skutku, przyczem tego rodzaju protokuł jest zarówno podstawą wykonywania tranzakcji, jak też redagowania ceduły giełdowej czyli podawania do publicznej wiadomości t. zw. „szlusów" giełdowych.

Poza wymienionymi nikt na salę dostać się nie może. Niema galerji, w odróżnieniu od większości giełd zagranicznych. Raz w tygodniu, a mianowicie w piątek, może i zwykły śmiertelnik przekroczyć próg finansowego sanktuarjum, oczywiście wprowadzony przez któregoś z członków, i to po opłaceniu

przymusowego obola w wysokości 5 zł.

Giełda nasza ma zatem charakter ściśle ekskluzywny, a może nawet klanowy...

A przecież, trudno wyobrazić sobie dziś, **życie gospodarcze nowoczesnego państwa bez giełdy,**

jako jednego z podstawowych wiązań w organiźmie gospodarczym.

Giełda stołeczna, to już stwierdzamy, nie odpowiada niestety zadaniom, które przedstawiliśmy. Skromna niemal minimalna, ilość papierów oficjalnie na giełdzie warszawskiej notowanych wskazuje chyba dobitnie, że nie może ona być miernikiem zaufania do polskich przedsiębiorstw. Jest to tem ciekawsze, że szereg akcyj polskich notowanych zagranicą, na giełdzie warszawskiej nie dopuszcza się wogóle do obrotów. Giełda warszawska nie może chociażby już z tego powodu

pretendować do roli właściwego barometru

polskiego życia gospodarczego, w małej bowiem mierze, odzwierciadla stopień zaufania społeczeństwa, które dla pewnych papierów musi szukać pośredników zagranicą.

Ale nie jest to jedyny powód!

Obroty giełdy warszawskiej są dziś minimalne i to zarówno w dziedzinie papierów oprocentowanych, jak też w dziedzinie papierów dywidendowych czyli akcyj, i nie pozostają w żadnym stosunku do faktycznego nasilenia życia gospodarczego kraju. Złośliwi twierdzą, że jeśli ktoś zaofiaruje dwie sztuki pożyczki stabilizacyjnej,

giełda warszawska jest już pod znakiem baissy,

chęć kupna takiej samej ilości obligacji powoduje natomiast tendencję zwyżkową. Oto jak wygląda rzeczywiście rzekomy regulator naszych tranzakcyj finansowych, widziany oczyma zakulisowego obserwatora! I czyż dziwić się można częstym zupełnie nieuzasadnionym popłochem i panikom, którym tak chętnie ulega czołowa giełda Polski!

Poczta pantoflowa, stugębna fama, nieopatrzny lapsus, oto informatorzy naszej warszawskiej giełdy, w której nie zasiada chyba nikt, kto kierowałby się

przesłankami racji gospodarczej,

zdrowym, trzeźwym i zrównoważonym sądem, wyciągającym konsekwencje z prawdziwych danych. Tutaj szukać należy przyczyn zgoła nieoczekiwanych i niezrozumiałych baiss w momentach, w których każda giełda reaguje tendencją zwyżkową.

Oto kilka faktów konkretnych wyrwanych z ostatnich dni.

Prezes Banku Polskiego płk. Koc wyjeżdża do Londynu. Wróble na dachu ćwierkają, że wizyta o charakterze rzekomo kurtuazyjnym u gubernatora Bank of England, ma inne cele na oku. Mówimy przecież ciągle o pożyczce zagranicznej. Giełda zatem winna w tym momencie reagować

zwyżką akcyj Banku Polskiego,

a conajmniej utrzymać tendencję. Tymczasem, jak grom z jasnego nieba niosą druty telegraficzne po Polsce, wieści że akcje te poczęły spadać. Chyba trudno o milszy

i bardziej wymowny akompanjament

zaufania kraju do słów prezesa naszego banku emisyjnego, które zapewnie w Londynie wypowiedział... Baissa trwa tak długo, dopóki płk. Koc bawi w Londynie. Skoro tylko wraca i wiadomo już powszechnie, że chwilowo nie może się poszczycić pozytywnym rezultatem swych rozmów, akcje Banku Polskiego zaczynają powoli wracać do utraconego poziomu. City londyńskie śledząc cedułę naszej giełdy dojść musiała do przekonania, że nasi finansiści są przeciwni zaciągnięciu pożyczki na obcym rynku, widocznie dlatego,

że mają dość własnych, płynnych kapitałów.

Bo jakże tu inaczej wytłumaczyć te dziwne wahania kursowe?!

A teraz spójrzmy za kulisy tego dziwnego bądź co bądź faktu: akcje Banku Polskiego stały wysoko, dochodziły już niemal do nominału, przy stałe zwyżkowej tendencji. Nasi panowie finansiści

czekają tylko na okazję zrobienia popłochu,

bo ich krótkowzroczność i brak orjentacji gospodarczej jest stale pod znakiem pesymizmu. Wprost zrozumieć nie mogą, że papier państwowy zwyżkuje, mając za podstawę, dodatnie przemiany w życiu gospodarczem. Uważając wysoki kurs jakiegoś papieru na zjawisko przemijające, poczynają nagwałt realizować posiadane sztuki,

by schować do kieszeni zarobek,

powodując tem samem rzecz jasna, załamania się kursu pod wpływem psychozy tak łatwo udzielającej się naszej płochej giełdzie. Najdziwniejsza jednak w tem wszystkiem jest okoliczność, że w tego rodzaju momentach niema dosłownie nikogo, ktoby uważał za swój obowiązek korygować kaprysy naszych domorosłych finansistów. O któż bardziej jest do tego powołany jeżeli nie przedstawiciele państwowych instytucyj finansowych, jak P. K. O., B. G. K. i Banku Rolnego, zasiadający w zebraniach giełdy. Czy rzeczywiście rząd nie jest zainteresowany w właściwych notowaniach jego papierów- A może to tylko nieudolność?...

Skolei następny obrazek:

Giełda warszawska jest znów pod znakiem popłochu. Nikt nie wie dlaczego. Napróżno, by się głowił. Bo komuż wpadłoby na myśl, że załamanie kursów wszystkich niemal papierów państwowych zostało spowodowane przez Bogu ducha winną...

speakerkę Polskiego Radja w Łodzi.

Pani ta podając (niesłychanie atrakcyjną i ważną dla społeczeństwa polskiego!) wiadomość o wprowadzeniu ograniczeń walutowych i utworzeniem centrali dewiz w Iranie, zapomniała wymienić kraj, wychodząc ze słusznego założenia, że gdyby to się działo gdzieś w Iranie, nie kazano by jej opowiadać o tem słuchaczom polskim. Naogół lapsus bez znaczenia. Ale nie dla giełdy warszawskiej. Jej nie oszukasz! Ona przecież czeka na takie „wiadomości", wie bowiem, że tak właśnie winno być. Oni od dawna „doradzają" centralę dewizową. I oto **Ł ó d ź** potwierdza wiadomość.

Czy nie dostateczny powód do paniki?

Trzeci kwiatek w bukiecie curiosów:

Dolarówka, papier cieszący się największem zaufaniem szerokich mas drobnych ciułaczy, której kurs,

przekracza znacznie wartość nominalną,

załamuje się nagle pewnego pięknego południa.

W normalnie funkcjonującej giełdzie opierałoby się załamanie kursu na sprawdzonych wiadomościach n. p. o wstrzymaniu premjowania, obniżeniu oprocentowania, przestemplowaniu parytetu złotowego papieru i t. p i t. p. U nas wystarczyło, że ktoś szczególnie zainteresowany w obniżeniu wartości papieru dla celów spekulatywnych puścił w kurs

pogłoskę o zamierzonej konwersji.

Nasi „finansiści" zapominają natychmiast o niezliczonych zapewnieniach Ministra Skarbu, o wielokrotnych enuncjacjach Rządu, zaprzeczających kategorycznie rzekomo zamierzonej konwersji, ulegają natomiast popłochowi i papier derutują oni o 6 punktów. Jakie skutki to wywiera wśród szerokich rzesz posiadaczy dolarówek nie trzeba wspominać.

Po kilku dniach paniki, ukazują się w prasie wiadomości, że konwersja dolarówki nie jest zamierzona. Wiadomość przez

nikogo nie autoryzowana,

nie zaopatrzona nawet w signum agencji względnie nazwisko informatora, a zaczynająca się natomiast od zdawkowych słów: „jak się dowiadujemy" (gdzie? od kogo?).

Ale to już wystarcza! Papier zwyżkuje na jednem zebraniu o 2 punkty. Autor plotki zainkasował zapewne pokaźną sumkę i udowodnił raz jeszcze genjalności naszej giełdy.

Dzieje się to w tym samym czasie kiedy na giełdach zagranicznych papiery polskie, jak n. p. Galicja, Browary Lwowskie, Zieleniewski i inni są w ciągłem poszukiwaniu,

przy tendencji zwyżkowej.

Na giełdzie warszawskiej natomiast papier jednego z największych przedsiębiorstw przemysłowych, Starachowice, traci w stosunkowo krótkim czasie 6 punktów, pod wpływem plotki, że w roku bieżącym nie zapłaci kuponów.

Ukoronowaniem jednak chlubnej działalności stołecznej giełdy i świadectwem jej gospodarczej dojrzałości jest cytowany poniżej fakt z ostatniego, przedświątecznego okresu. Prasa przynosi wiadomość, że budżet za marzec

został zamknięty nadwyżką 600 tys. zł.

Jeśli się zważy, że od listopada 1930 r. jest to pierwsze zamknięcie miesięcznego budżetu bez deficytu, wręcz przeciwnie nawet z wygospodarowaną nadwyżką, to można oczekiwać, że sfery giełdowe zareagują tak, jak przeciętny obywatel, jak w tych samych warunkach zareagowaliby zagraniczni finansiści, to znaczy wzrostem zaufania wyrażającym się w zwyżkowych notowaniach kursowych. A tymczasem?...

Jesteśmy przecież w okresie świąt, kiedy giełda warszawska niema czasu dla oceniania gospodarczych zjawisk państwowych, w wyniku czego znajdujemy się w tym okresie pod znakiem zniżki. To też mimo wielkiego znaczenia, jakie posiada

pierwszy zrównoważony budżet miesięczny,

mija on bez echa na giełdzie stołecznej.

Tak wygląda nasza giełda, sejsmograf polskiego życia gospodarczego.

Z ramienia władz państwowych nadzoruje działalność giełdy rządowy komisarz. Byłoby bardzo ciekawe dowiedzieć się co robi komisarz rządowy celem

opanowania nieuzasadnionych niczem baiss, panik

i innych szkodliwych dla całości gospodarki narodowej objawów, które rozgrywają się w szarym domu przy ul. Królewskiej.

Jan Warner.

(Dokończenie ze str. 1-ej).

ski. Kiedy potem się martwimy, że zagranicą nie wiedzą o naszych cudach folkloru, kiedy załamujemy ręce, że poniektóre pisemka wypisują przedziwne brechty o Polsce, kiedy zauważamy nieposplicie nędzne „polskie sekcje" na rozmaitych wystawach, czy kongresach-to musimy sobie zdać sprawę, iż wina w tym wypadku spada na gangsterów propagandowych!

Nikt inny, **ale właśnie oni wepchnęli polską propagandę zagraniczną w ciasny i ślepy zaułek.**

Niedopuszczając do uczciwej roboty nikogo, kto nie należy do „gangu", w haniebny sposób marnotrawią pieniądze państwowe uciułane z naszych groszy, z naszych podatków i świadczeń, z naszej biedy.

Ale cóż ich to wszystko obchodzi!

Aby tylko byli w Paryżu, Barcelonie, Zürichu, Wiedniu, Cluju czy Kijowie, **aby starczyło panom „redaktorom" na dziwki, „Cordon Bleau", ruletki czy pokery.** Reszta? To głupstwo, nad którem niewarto zastanawiać się...

W pełni zdajemy sobie sprawę z ważkości naszych zarzutów, naszego oskarżenia. Jeśli zajdzie tego potrzeba (oby zaszła..) **chętnie przeprowadzimy dowód prawdy, prześwietlimy nawskroś ten podziemny świat naszych gangsterów propagandowych, boć przecież niesposób przypuszczać aby czynniki kompetentne akceptujące wypłaty dla tych panów, były dokładnie poinformowane na co właściwie idzie grosz polskiego inteligenta, chłopa, robotnika.**

CZY MINISTERSTWO PROPAGANDY?

Dzisiaj, kiedy organ naszej Armji, „Polska Zbrojna" występuje z konkretnym i niewątpliwie godnym specjalnej uwagi projektem **powołania do życia Ministerstwa Propagandy,** wywody nasze nabierają specjalnej aktualności.

Nasze Ministerstwo Propagandy, któreby przedewszystkiem zajęło się propagandą wewnętrzną, przejęłoby niewątpliwie również agendy propagandy zagranicznej i sprawnie zlikwidowało tych wszystkich wyfraczonych „propagandziarzy", ku **pełnej korzyści Państwa i zadowoleniu jego obywateli.**

Oczywiście, projekt „Polski Zbrojnej" nie jest pozbawiony najróżniejszych „ale", na których czoło wysuwa się przedewszystkiem pytanie: komu możnaby z czystem sumieniem powierzyć tak odpowiedzialny resort?

Były czasy, kiedy wydawało nam się, że trudno o bardziej odpowiedniego człowieka niż **p. Ignacy Matuszewski.** Niestety, zarówno dla nas, jak i p. Matuszewskiego, te czasy należą do chmurnej coprawda ale górnej przeszłości. Dzisiaj mamy w Polsce bodajże tylko jednego człowieka, którýby sprostał zadaniu, czy jednak on zgodziłby się wziąć na swe barki tak wielki i odpowiedzialny ciężar — **należy wątpić.**

Totem.

U źródeł nędzy polskiej

Złote interesy czterech braci M.

Konsument w jasyrze gdyńskiej łuszczarni ryżu

Od czasu do czasu wybucha na grząskim gruncie kartelowym, jakaś afera, która, jak błyskawica rozświetla, w grubym mroku kryjące się, kulisy skartelizowanego przemysłu i handlu w Polsce.

Taką sprawą w roku ubiegłym była afera kartelu ryżowego, który zmonopolizował, bez reszty prawie, handel tym produktem i **ciągnie z niego nieprawdopodobne wprost zyski, kosztem skarbu państwa i konsumentów.**

Aferą tą zajmowała się bardzo gorąco prasa pewnego odłamu, po półkolumnowych „wyjaśnieniach" kartelu — jeszcze szybciej — ostygła.

Nie powracalibyśmy do tej sprawy, gdyby kartel — sam nie przypomniał się społeczeństwu —**niczem nieuzasadnioną zwyżką cen.** Ponieważ jednak uważał za stosowne to uczynić — przeto my skolei uważaliśmy za stosowne zająć się nim nieco bliżej.

Zaj. ie to, poza stwierdzeniem tego, co w swoim czasie podała prasa, jak i tego, czego... nie podała — **odkryło nam rewelacje, od których włosy stają dęba na głowie.**

SKARB PAŃSTWA TRACI....

Normalne stawki celne wynoszą 28 zł. za 100 klg. ryżu i takie cło płacą, nieliczne zrasztą, firmy, sprowadzające ryż bezpośrednio z zagranicy. Natomiast łuszczarnia ryżu w Gdyni, dzięki przyznanym jej **specjalnym ulgom,** płaci cło, wynoszące zaledwie... **4,62 zł. za 100 klg.!**

Zważywszy, że ogólny import ryżu wyraża się cyfrą około 32-ch tysięcy tonn rocznie — przeto wpływy celne, obniżone według stawek normalnych winny przynieść skarbowi **9.856.000 zł. rocznie.**

Od kartelu łuszczarskiego zaś skarb otrzymuje zaledwie tylko 1.484.000 zł., czyli traci rocznie 8.372.600 złotych!

KONSUMENT NIC NIE ZYSKUJE...

Zdawałoby się, że dzięki tak olbrzymim, niewiarogodnym wprost, przywilejom kartelu — zyska przynajmniej konsument — nic podobnego!

Na rynku naszym mamy ryż sprowadzany według normalnych stawek celnych i ryż sprowadzany według stawek ulgowych — przez łuszczarnię w Gdyni. Ale detalista, konsument **płaci za ryż jednego i drugiego importu tę samą cenę. Całą różnicę wynoszącą około 8.000.000 złotych — zagarnia do swej zachłannej kieszeni kartel ryżowy!**

CUDA TRANSPORTOWE

Przyczyną ostatniej podwyżki cen ryżu, miały być, jak doniosła prasa, zwiększone koszta transportu — koleją zamiast drogą wodną. Przypatrzmy się jak to wygląda w rzeczywistości.—

Otóż, pomysłowi kierownicy kartelu znaleźli sobie **nowe źródło dochodu w postaci— sprytnego kantu: liczą odbiorcom koszta Przewozu towaru koleją, a w rzeczywistości transportują towar drogą wodną.**

Łuszczarnia gdyńska sprzedaje bowiem ryż franco port, lecz nie daje odbiorcy możliwości podjęcia towaru w Gdyni i wysłania na własną rękę do Warszawy, ale zmusza go do zapłacenia zgóry za fracht kolejowy — 843 zł. za 10.000 klg. Następnie ryż wysyłany jest drogą wodną, na barkach co kosztuje tylko 243 zł.

W ten sposób odbiorcy przepłacają po 600 zł. na każdym 10 - tonnowym wagonie ryżu, co skolei odbija się na cenach płaconych przez konsumenta.

Różnicę łapczywie zgarnia nienasycony kartel.

DWAJ „BRACIA M"

Te skandaliczne stosunki na rynku ryżowym, machlojki celno — transportowe ryżowych baronów, bezczelne obdzieranie ze skóry ubogiego polskiego spożywcy — mają swą przyczynę w tem, że **dzięki ulgowym stawkom celnym — nikt nie jest w stanie konkurować cenami z gdyńską łuszczarnią.**

Przedstawicielką, a właściwie — współwłaścicielką łuszczarni jest firma: „B-cia Mazur".

„B-cia Mazur", jak twierdzą wtajemniczeni w kulisy rynku ryżowego, pozostają w więcej niż ściślym kontakcie z firmą „B-cia Mławscy".

Ów „kontakt" polegać ma natem, iż **dyrektor firmy „Bracia Mazur" jest jednocześnie cichym wspólnikiem hurtowni „Bracia Mławscy".**

Dalsza droga jest prosta i — jasna: „B-cia Mławscy" otrzymują od „B-ci Mazur" najwyższe gatunki ryżu, jakie znajdują się w gdyńskiej łuszczarni. Pomniejsi hurtownicy, czy też detaliści, chcąc otrzymać wysokowartościowy ryż — muszą nabywać go u „B-ci Mławskich", przyczem **dodatkowo im się za to opłacić.** Opłata ta waha się od 1,50 zł. do 2 zł. za stukilowy worek.

Charakterystycznym przykładem i dowodem zarazem owej ścisłej „współpracy" obu firm jest fakt, że **przed każdą podwyżką cen — składy „B-ci Mazur" są opróżnione z towaru — braknie go notorycznie i z zasady dla odbiorców. Natomiast hurtownia „B-ci Mławskich" dostarcza wszelką żądaną ilość po „umiarkowanej" cenie, wyższej „zaledwie" o 4 do 5 zł. za 100 klg. od ceny normalnej.**

ZABIJANIE KONKURENCJI

„B-cia Mazur" pozwalają sobie również dość często na tak „niewinne" kawały, jak **dostarczanie najpoważniejszym hurtownikom zepsutego towaru, co podważa w konsekwencji zaufanie odbiorców do danej hurtowni.**

W ten sposób postępowano przez dłuższy czas np. ze „Stowinkolem". Dopiero analizy miejskiego Instytutu Badania żywności i **groźba interwencji władz administracyjnych** — zmusiły „solidną" firmę „B-ci Mazur" do zaprzestania tych, aż nazbyt często powtarzających się „ pomyłek w dostawie".

W tej sytuacji kupiectwo polskie zerwało w większości swej stosunki handlowe z łuszczarnią gdyńską i jej „reprezentacją stołeczną" — „Braćmi Mazur" — i rozpoczęło na własną rękę importowanie ryżu z Holandji. Na rynku pojawiło się odrazu kilkanaście gatunków ryżu i tu — ujawniła się sprężysta organizacja kartelu, który rozpoczął błyskawiczną kontrakcję.

Agenci łuszczarni obsadzili wszystkie większe ośrodki prowincjonalne i mając w ręku potężną broń ulg celnych — („zbuntowani" kupcy płacili pełne stawki) — rozpoczęli kontratak.

W chwili obecnej, sytuacja przedstawia się w ten sposób, że ceny ryżu utrzymują się na mniej więcej równym poziomie.

Należy jednak podkreślić, że ryż sprowadzany wprost z Holandji, bez pośrednictwa łuszczarni gdyńskiej, **jest gatunkowo o wiele wyższy, a więc kalkuluje się dla nabywcy znacznie taniej** niż towar „B-ci Mazur".

KUPIECTWO BIJE NA ALARM

Rozgoryczeni kupcy zwrócili się w lutym r. ub. do min. Skarbu oraz min Przemysłu i Handlu z memorjałem, w którym dowodnie wykazawszy **straty Skarbu Państwa (około 8.500.000 zł. rocznie)** — skutkiem ulg celnych uzyskanych przez kartel — podkreślili, **iż ryż importowany poza łuszczarnią gdyńską jest sprzedawany przez nich po indentycznych cenach, co wskazuje na olbrzymie zyski kartelu z krzywdą przedewszystkiem — konsumenta.**

BEZ ODPOWIEDZI

W memorjale tym kupcy wskazali, że:

„...Ponieważ... szkodliwem byłoby zmuszanie łuszczarni... do obniżenia cen ryżu, gdyż w danym wypadku powiększylibyśmy konsumcję ryżu ze szkodą dla rolnictwa... uważamy, że jedynie wprowadzenie jednolitej stawki celnej na ryż łuszczony — bez względu na to, czy pochodzi on z łuszczarni gdyńskiej, czy też z zagranicy — jest jedyną możliwością ochrony skarbu państwa od miljonowych strat rocznie".

Na memorjał ten kupcy... nie otrzymali odpowiedzi.

Na początku ub. roku wygasła umowa koncesyjna z łuszczarnią gdyńską. Z niewiadomych powodów umowa ta została przedłużona na dwa lata.

W każdym razie faktem jest że B-cia Mazur, nieżyjący już pos. Wiślicki oraz bracia (Ludwik, Herman i Maksymiljan) Wasserbergerowie prolongatę koncesji — otrzymali.

„POLSKO — GDAŃSKI PRZEMYSŁ RYŻOWY"

Zyski łuszczarni gdyńskiej zamykają się sumą 6.700.000 zł. rocznie.

W r. 1934 osiągnęły nawet 7.500.000zł.!

Są to zbyt smakowite kąski, by nie warto było dla nich poświęcić miljona.

Jednak i te „zarobki" nie wystarczały ryżowym rekinom! W r. 1933 powstała firma Polsko — Gdański Przemysł Ryżowy sp. z. o. o." Jedynym celem założenia tej firmy było **zamaskowanie kolosalnych zysków łuszczarni, przez odkupywanie od niej towaru po cenie niskiej, i odprzedawanie go po odpowiedniej „korekturze" na rynku.**

Gdyby ktoś miał wątpiwość, co do prawdy naszego twierdzenia, to niech przyjmie do wiadomości, że **udziałowcami nowopowstałej firmy są wszyscy współwłaściciele łuszczarni ryżu w komplecie, a więc: Bracia Mazur, b-cia Wasserberger (Ludwik, Herman i Maksymiljan), oraz pos. Wiślicki** ((zmarły ub. roku).

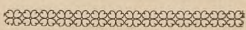
DOSYĆ ŻEROWANIA NA NĘDZY MAS!

W początkach przyszłego roku wygasa sprolągowana koncesja ryżowych rekinów.

Zważywszy, że ryż jest wyśmienitą odżywką nabywaną masowo przez rzesze spożywców — stawiamy wniosek — jedyny jaki w tej sytuacji można i należy wysunąć: **łuszczarnia gdyńska winna być jaknajrychlej przejęta przez Państwo! Tylko w ten sposób uchronimy się od pasożytowania zbójeckiego kartelu na przywilejach celnych i uchronimy spożywcę Polskiego od dalszego łupieskiego wyzysku!**

Nie wolno dłużej tolerować bandyckich metod baronów ryżowych, urągających bezczelnie swą zachłanną polityką interesom Państwa i społeczeństwa!

Argus.





Tłusty folwark karmazynów

»Reprezentacyjne« pobory arendarzy wyścigów konnych

Wyścigi konne, jak wogóle wszelkie imprezy oparte na grze i hazardzie, są bardzo intratnym interesem. Totalizatora w wieczystej dzierżawie, zagwarantowanej starodawnemi ustawami, utrzymuje Towarzystwo Zachęty do Hodowli Koni, będące znów emanacją Klubu Myśliwskiego. Jest to więc domena tak zwanej arystokracji, zlekka i dyskretnie przeplecionej mniej historycznie i po sarmacku brzmiącemi nazwiskami rozmaitych dygnitarzy lub kandydatów zaledwie na baronów.

Wyścigi dają pokaźne dochody. Część ich idzie na cele hodowlane i filantropijne, w kasach Towarzystwa pozostają jeszcze poza wszelkiemi potrąceniami poważne sumy i trzeba niemi jakoś rozporządzać. Utytułowanym przeważnie członkom Zarządu Towarzystwa nie wypada pobierać pensji, wynagrodzenia za prace, którą nie kalają swych rąk. Można jednak przyjąć pewne (byle poważne) sumy „na reprezentację".

Nazwa jest wynaleziona, pozycje tworzyć nietrudno.

Pan Prezes hr. Komorowski otrzymuje więc z kasy Towarzystwa „na reprezentację" 60 tysiecy złotych rocznie. Prócz tego ma do dyspozycji „reprezentacyjne" auto, którego utrzymanie wraz z remontem kosztuje jeszcze kilkanaście tysięcy złotych rocznie.

INNE ŚWIADCZENIA REPREZENTACYJNE

Zdawać by się mogło, że tak suto dotowany budżet reprezentacji obejmuje przynajmniej jakieś przyjęcia, powiedzmy wyraźniej, poczęstunki dla gości krajowych i zagranicznych, dla prasy (to jest już zwyczaj, przykry może... dla prasy, ale zwyczaj!). Ale i te wydatki nie obciążają budżetu p. prezesa, gdyż utrzymujący bufet ma wymówione w kontrakcie urządzenie tylu , a tylu przyjęć oficjalnych.

Budżet p. prezesa nie jest więc obciążony żadnemi wyraźnemi zobowiązaniami.

DOSKONAŁY ADMINISTRATOR

Pan prezes Komorowski jest urodzonym administratorem, ale nie zdradza specjalnego zamiłowania do sportu końskiego, nie interesuje się nawet specjalnie wyścigami.

Opowiadają o nim ciekawą w tym względzie anegdotkę: pewnego razu p. prezes wyjątkowo zainteresował się jakąś gonitwą, nie chce mu się jednak zbytnio wytężać wzroku, pyta więc kogoś stojącego w pobliżu:

— Kto „leci"?

— Essor, panie prezesie.

— Co za Essor?! Pytam kto leci pierwszy.

— Essor, panie prezesie.

—No, dobrze,—mówi już poniesionym głosem p. hrabia. — Ale ja chcę wiedzieć: czy Kurnatowski czy Zamoyski?...

Przy takiem znawstwie koni i wyścigów rola p. prezesa sprowadza się istotnie do funkcji czysto reprezentacyjnych.

Ale ta „reprezentacja" kosztuje 60 tysięcy złotych rocznie...

Ile trzeba by mieć w dzisiejszych czasach folwarków, aby realizować dochody, jakie daje p. prezesowi to małe pólko o obwodzie około 2100 metrów!?

Znacznie mniej, bo zaledwie około 15 tysięcy rocznie pobiera od Towarzystwa hr. Morstin.

KAPŁANI ŚW. BIUROKRACEGO

Gdy bezpośrednio po wojnie wznawiano wyścigi konne, cały zarząd Towarzystwa składał się z trzech osób: prezesa Jurjewicza i pp. Wolińskiego i Oszmanowicza. Warunki pracy były niezmiernie trudne, gdyż wszystko trzeba było zaczynać od początku. Ale ci trzej ludzie pracowali naprawdę, a prezesa Jurjewicza często widzieć było można jak, leżąc na podłodze w swym gabinecie wodził palcem po rozłożonych arkuszach papieru, układając plany gonitw.

Następnie, gdy wszystko zostało już określone w głównych zarysach i stworzyły się pewne szematy, które

(Dokończenie na str. 5-ej)

Senat szaleńców radzi...

Groteskowy »kinderbal« dorosłych ludzi

W okresie przedświątecznym, kiedy szanujący się mieszkańcy Warszawy usilnie zabiegali o wydobycie, w myśl zasady: „zastaw się, a postaw się”, kilkudziesięciu czy kilkuset złotowych pożyczek na urządzenie przyjęć świątecznych, obradował w tejże Warszawie... senat szaleńców.

OBRADY SENATU SZALEŃCÓW

Kilkudziesięciu skądinąd miłych, a nieraz bardzo utalentowanych aktorów zjechało się na t. zw. sejm aktorstwa polskiego, którym najprawdopodobniej nie zajmowalibyśmy się specjalnie, gdyby nie tendencyjność czy lakonizm z jakiemi doroczny zjazd członków Z. A. S. P'u potraktowany został na łamach prasy codziennej.

Tymczasem tegoroczny zjazd, jak może żaden poprzedni nie uwypuklił tak **jaskrawo bezradności organizacji aktorskiej,** a jednocześnie nie rzucił tyle światła na beznadziejność w jakiej pławi się młode pokolenie aktorskie.

MRZONKI P. ZELWEROWICZA

Referat p. Zelwerowicza raz jeszcze podkreślił, to, o czem pisaliśmy już kilkakrotnie, że ten tęgi artysta absolutnie nie nadaje się na kierownika uczelni szykującej świeży narybek dla Sceny Polskiej.

P. Zelwerowicz zapłonął nagle pożądaniem podciągnięcia niesczęsnego PIST'u na wyżyny uczelni akademickiej. Oczyma duszy rasowego aktora widział już siebie w insygnjach rektorskich, a mówiąc tak o przekształceniu PIST'u w wyższą uczelnię, zaznaczył jednocześnie, że obecnie na ławy PIST'u trafia mnóstwo beztalencia, ludzi przypadkowych, z których Scena Polska nie będzie miała żadnego pożytku.

Coś tam z logiką jest nie w porządku p. rektorze... Bo, czy to matura ma dać Piściarzom - akademikom powołanie aktorskie, tę iskrę bożą, dzięki której właśnie Polska, a nie żaden inny kraj ma Solskiego, Jaracza, Stępowskiego, Węgrzyna?

Pan się wyraźnie ośmieszył p. Zelwerowicz.

CENTAUR SZACHOWY Z PIST'u

Metody wychowawcze drugiego asa PIST'u p. Schillera, zresztą niewątpliwie wielkiego reżysera, próbował ośmieszyć w równie zabawnej jak smutnej dyskusji Damięcki.

Mówił Damian o wydziale reżyserskim PIST'u, o „genjuszkach” tego wydziału, którzy w swym kretyniźmie dają swym kolegom takie np. wskazania:

—Dolna połowa waszego ciała musi być... nogami konia szachowego, a górna — normalnem ciałem ludzkiem... — tu Damięcki zaryzykował uwagę, do której części ciała nadaje się taki „reżyser”.

ZMIENILIŚCIE SIĘ, DAMIAN...

Ale... dzisiejszy Damian z desek T. K. K. T., gdzie wszakże hula protekcja i wpływy, to już nie dawny legjonowy kapitan Dobiesław Damięcki, żołnierz nieustraszony i **za odwagę swą wszystkiemi bojowemi odznaczeniami nagrodzony,** to już nawet nie ten pseudo - komunista ze sceny lwowskiej. Dzisiejszy Damian to rewolucjonista pod płaszczykiem policji, to „błagonadiożny artist-czynownik” z rządowego koncernu T. K. K. T. i dlatego, gdy w obronie swych pupilków PIST'owych stanęli i Zelwerowicz i Schiller — Damięcki skapitulował.

Mówiono dużo o megalomanji młodego pokolenia aktorskiego, o tem tandetnem „przeintelektualizowaniu” różnych chłopaczków i pindulek, którzy zamiast, jak to dawniej absolwenci szkoły aplikacyjnej, statystować w sztukach, przychodzą dzisiaj na próby i z całą bezczelnością krytykują czy... społeczne podejście do roli Ćwiklińskiej **lub Stępowskiego** jest dostatecznie głębokie, czy nie!

Inne wielkie dzieci sceny mówiły o rozszerzeniu przymusu organizacyjnego na kierowników literackich, artystów - dekoratorów, etc.

TROCHĘ ZIMNEJ WODY

P. Naczelnik Zawistowski usiłował wówczas wystąpić w roli karzącego opiekuna i zaiste olimpijsko spokojnie, punkt po punkcie wykazywał absurdalność tych niemowlęcych pogwarek i co do rozporządzania się, niestety państwowym PIST'em, i co do przymusu organizacyjnego. Ze słów reprezentanta ministerstwa wynikło niezbicie jedno, że oto ZASP w gruncie rzeczy jest wcale **sympatycznym... klubem dyskusyjnym,** który jednakże niemoże mieć najmniejszego wpływu na zagadnienia prawno - socjalne pracy aktora, unormowana aż nazbyt wyczerpująco przepisami i ustawami państwowemi.

JARACZ MÓWI!

Drugi dzień „obrad” rozpoczął kapitalny referat Jaracza. Największy artysta sceny polskiej poddał głębokiej analizie twórczość aktora, z pasją wytknął zastraszającą pauperyzację stanu aktorskiego, mówiąc o niechlujnej dykcji z jaką na scenę wychodzi młode pokolenie, o nieopanowanych ruchach tych „genjuszków”, o denerwującej przypadkowości ich gry, o tem wszystkiem z czem, od pierwszej chwili istnienia WIEM WSZYSTKO, **usiłujemy walczyć.**

HANDLARZE ZE ŚWIĄTYNI SZTUKI

Mówił potem Jaracz o „businessmanach” teatralnych, którzy niby handlarze margaryny czy śledzi, wbijają w Sztukę kliny „handlowych kalkulacyj”, o tem jak wysuwają na pierwszy plan interes, tendencyjnie podbijają lub obniżają gaże, jak wydmuchują rewjowe miernoty do rozmiarów gwiazd, jak spekulują tym teatrem, który ma być wszakże... Świątynią Sztuki.

Mówił Jaracz tak, **jak to tylko on potrafi,** a że mówił przekonywująco świadczyły o tem bezmała 10-minutowe oklaski zebranego audytorjum.

I ZNÓW... SIECZKA

Niestety, po nim znów ludzie, najlepszej zresztą woli, przes wali sieczkę nikomu do niczego niepotrzebnych słów, żądań, uchwał, postanowień...

Niezapomniał „sejm” również o operze i balecie. Niestety operę polską reprezentowało zaledwie trzech tytanów śpiewaczych pp. Freszel, Michałowski i Janowski, balet zaś był wogóle osierocony, nie licząc oczywiście obecnego na widowni p. Dąbrowskiego.

O OPERETCE I REWJI

Dowcipnie i inteligentnie sprecyzował sytuację operetki i rewji sympatyczny wyga nadscenek — Boczkowski, słusznie ubolewając nad tem, że trudno mówić o należytym rozwoju kabaretu literackiego, wówczas, kiedy dostawcami tekstów jest tylko dwu ludzi — Tuwim i Hemar. I istotnie, jeśli jeden rozchoruje się, a drugiego zaczną gnębić komornicy, „Cyrulika” **trzeba będzie zamknąć na cztery spusty** (nasza uwaga).

PRZEMÓWIENIA GOŚCI

Obrady zakończyły przemówienia dwu reprezentantów sanhedrynu T. K. K. T. pp. Zawistowskiego i Kaden-Bandrowskiego. Jak przystało na ludzi dorosłych zaproszonych na kinderbal, obydwaj panowie mówili poucząjąco i kurtuazyjnie, jednakże nie bez delikatnej nutki lekceważenia.

Ciekawsze momenty udało się uważnemu słuchaczowi wyłowić zwłaszcza z przemówienia Kadena, który prawdopodobnie mimowoli, dał do zrozumienia, **że w T. K. K. T. są duże i poważne luki finansowe.** Mimo to, pewność i spokój obydwu reprezentantów sanhedrynu wskazywało na to, że koncern widocznie znowu otrzymał konkretny zastrzyk... gotówki i nie należy łudzić się perspektywą zbyt szybkiego zgonu tego dziwoląga naszego życia teatralnego.

ZAMIAST DO TEATRU

Reasumując — spragnieni widowisk w okresie Wielkiego Tygodnia mieszczuchy, mogłyby na Zjeździe ZASP'u bawić się równie dobrze, jak w teatrach T. K. K. T., a gdyby ich dopuszczono na tajne posiedzenia — zabawa wzrosłaby napewno do poziomu... „Cyrulika Warszawskiego”...

Krzysztof Miłosz.

BAGIENKO FILMOWE

Hotel „Rosja” finansuje

»polską« produkcję filmową

W niezliczonej gmatwaninie najróżniejszych afer i kantów, coraz gęściejszą siecią oplątujących nasze życie, grzęzawisko filmowe zajmuje wcale poczesne miejsce, któremu, od chwili powstania naszego pisma, poświęcamy odpowiednio wiele uwagi.

Gros „branżystów” filmowych składa się z... p. p. s. (pracownicy pasażu Simonsa), bądź melancholijnych szamesów, którym niepowiodło się w „fachu” religijnym. Ci ludzie dzisiaj decydują o... produkcji polskiej, ci ludzie dyktują zapotrzebowania, „adaptują” dzieła najtęższych pisarzy polskich, „przerabiając” je na ekran, **ci ludzie rządzą w naszej filmji,** bezapelacyjnie i, niestety bezkonkurencyjnie.

Dzisiaj, kiedy na horyzoncie, tego już nie „bagienka filmowego”, a wręcz — bagniska, pojawia się wielka spółka akcyjna, organizowana przez ludzi rzutkich, inteligentnych i europejskich, spółka **dysponująca wielkim kapitałem prywatnym,** warto tem ważniej przyjrzeć się koszmarnej menażerji „polskich producentów filmowych”, warto skonfrontować tych wszystkich „kierowników produkcji”, „reżyserów”, „scenarzystów”, etc. z smutną rzeczywistością w jakiej po dziś dzień tkwi film polski.

Więc najpierw charakterystyczny, a jakże bardzo wymowny obrazek z dziedziny „produkcji”.

Żył sobie cicho, nikomu nieznany bliżej p. Fajflowicz. Jakieś utajone moce, kazały mu zrezygnować z cztrech... Łowiczów, przekształcić się w zwykłego, **pojedyńczego Łowicza** i rozpocząć karjerę jako „polski” producent i reżyser filmowy.

Aby jednak rozpocząć produkcję, trzeba mieć trochę pieniędzy chociażby na opłacenie wzmiankarzy filmowych.

Na swoje szczęście, a na nieszczęście wielu ludzi, świeżo kreowany p. Łowicz **spotyka na swej drodze p. Itingsona.** Nieznane nam są bliżej filmowe kwalifikacje p. Itingsona, wiemy natomiast, że spólnik p. Łowicza jest właścicielem hoteliku „Rosja”, aż nazbyt popularnego w pierwszych dniach niepodległości, a dzisiaj dobrze znanego czytelnikom gazet, nietyle z reklamowania komfortu jaki w „Rosji” panuje, ile z nieustającego **zainteresowania tym lokalem podwładnych p. Paleolog...**

Parę tysięcy p. Ignigsona i dobre chęci p. Łowicza złożyły się na poszukiwanie jakiegoś interesu. Ponieważ handel powiedzmy śledziami w dzisiejszych czasach nie jest kopalnią złota, do innych przedsięwzięć brakło obydwu panom kompetencji, wię **został film.**

I tak oto wyrasta na warszawskim bagnisku filmowem nowy „producent”.

Z rozmachem zabrano się do pracy. Znalazł się odpowiednio tani i bzdurny scenarjusz, w który na wszelki wypadek (prawdopodobnie w interesie hotelu „Rosja”... (wklejono... policję kobiecą, domowym sposobem rozdzielono kierownicze stanowiska, przyczem **dyrekcja administracyjna** spoczęła w rękach p. Itingsona, a kierownictwo produkcji objęła znakomita diva, gwiazda „Victorji”. „Wirów” i „Mignonu” **p. Lena Okszańska,** urocza małżonka p. Łowicza, który rozpoczął urzędowanie przy megafonie reżyserskim. Niezapomniano również o... kierowniku artystycznym, na które to stanowisko niewiadomo jakiemi fortelami ściągnięto uzdolnionego **aktora i reżysera p. Bendę.**

Pozyskanie do jednej z głównych ról niewątpliwie zdolnej, niewątpliwie uroczej, i niewątpliwie spragnionej sławy p. Moniki Carlo miało nowej wytwórni zapewnić odpowiednio korzystną, a bezpłatną reklamę w jednym z **raczej matrymonjalnych niż filmowych** organów prasowych.

Obsadziwszy mniej lub więcej fortunie również i inne role, nowokreowani „producenci” zaczęli kręcić... Kręcenie filmu trwało b. krótko, zaczęło się natomiast żmudne kręcenie za... gotówką, bowiem „kapitalista” Itingson szybko wysupłał się z dukatów.

Niestety, i na tym odcinku „producenci” niemieli szczęścia. Kiniarze bynajmniej nie śpieszyli się z zaliczkami, a jeden z **dyrektorów niemieckiej „Ufy”,** do którego zwrócili się dwaj sztandarowi aryjczycy: Itingson i Fajflowicz z propozycją dokończenia, na własny rachunek, rozpoczętego filmu, po obejrzeniu kilkudziesięciu metrów taśmy, zapytał wręcz p. Łowicza:

— Ale właściwie dlaczego wziął się pan do filmu?

— Może zanadto optymistycznie

(Dokończenie na str. 6-ej).

Towarzystwa ubezpieczeń, czy...?

Przykład Rosji nie może pójść w niepamięć!

Pisząc niedawno o koncernie Flicka (patrz „WIEM WSZYSTKO" Nr. 9) cofnęliśmy się myślą wstecz do czasów przedwojennych, kiedy Niemcy, szykując się do wojny z Rosją, zapoznawały się z terenem przy pomocy swych agentów, którzy wielką rzeszą zwalili się na Rosję w charakterze przemysłowców, kupców, techników. W przedwojennym tajnym budżecie niemieckiego ministerstwa skarbu w artykule B. wymienione były **nazwy towarzystw ubezpieczeniowych** na terenie Rosji, które oddały rządowi **„szczególnie ważne usługi"**. Większość agentów ubezpieczeniowych była **podejrzana o szpiegostwo** na rzecz Niemiec. Agenci ci, przed wojną jeszcze, uniknęli kary, uciekając do Niemiec.

Oto obraz przeszłości. Porównajmy go z obecnym stanem rzeczy u nas. Absolutna większość! towarzystw ubezpieczeniowych na terenie Polski dysponuje w **100% kapitałem zagranicznym.** Kilka towarzystw posiada kapitał polsko - zagraniczny a **tylko trzy towarzystwa** oparte są całkowicie na kapitale polskim.

Udział zagranicznego kapitału w prywatnych ubezpieczalniach **przekracza 90%.** Największą rolę, obok kapitału włoskiego, **odgrywa kapitał niemiecki.** Szereg towarzystw, a między innemi **osławiona „Florjanka"**, oparty jest o kapitał austrjacki lecz faktycznie **należy do niemieckiego koncernu** Einhorna. Pozatem **występuje** kapitał czysto austrjacki, angielski i jedyne tow. „Dnister" oparte jest na kapitale ruskim.

Tu warto zaznaczyć, że nawet te koncerny ubezpieczeniowe w których działają kapitały państw obojętnych dla nas, czy wręcz przyjaźnie posiadają nastrojonych. **centrale dla Europy wschodniej z reguły w... Berlinie.**

Ten pobieżny przegląd obcych kapitałów, które opanowały polski rynek ubezpieczeniowy staje się **wrogiem memento** jeśli dodamy, że **najpoważniejsze instytucje państwowe i wojskowe** są ubezpieczone w towarzystwach opartych wyłącznie o kapitał zagraniczny i wśród nich znajdują się **Monopole Państwowe, banki państwowe, P. K. O., Chorzów, Mościce, Zagożdżon, Państwowe Zakłady Inżynierji, kolumny samochodowe Czerwonego Krzyża, Kasy Chorych, Rady Powiatowe i t. d. i t. d.**

Wiemy doskonale, iż ubezpieczone zakłady muszą powiadomić towarzystwa **o planach budynków, magazynów, terenów.** Czyż mamy jakiekolwiek gwarancje, że dane o zakładach, posiadane przez towarzystwa ubezpieczeń, przesyłane do centrali zagranicznych, **nie wpadają do rąk, w których znajdować się nie powinny?**

W niektórych towarzystwach mają swobodę działania agenci obcych państw, bardzo ciekawi i bardzo zręczni, wiążący misternie **swe działania ubezpieczeniowe z niciami wrogiego wywiadu.**

W dziedzinie ubezpieczeniowej, która wymaga szczegółowego zapoznania się z ubezpieczonemi objektami, wnikanie za bramy, zamknięte na pieczęcie tajemnicy państwowej czy wojskowej, **ostrożność jest nakazem obywatelskim,** jeśli nawet pominąć sprawę tak doniosłej wagi, jak popieranie przez państwo czynnika polskiego.

Znane są nam fakty, że do pewnych towarzystw **nadchodzą z Berlina specjalne polecenia, co do starania się o ubezpieczenia w takich czy innych instytucjach państwowych.**

Czy „polecenia" takie mogą mieć na celu dobro naszych placówek państwowych?

Bijemy na alarm!

Sprawa ubezpieczeń musi być unormowana **po linji polskiej i tylko polskiej racji stanu.**

Q.

CZY TO WARTO, „WARTO"

robić takie »interesy« z polskimi rzemieślnikami?

W brzydki sposób szuka „Warta" prenumeratorów i amatorów ogłoszeń. Do Pana Marcina Kąsiorka, prowadzącego od wielu lat solidny warsztat rzemieślniczy wyrobu ram przy ul. Siennej Nr. 15 zgłosił się przedstawiciel „Warty", p. Mieczysław Malczewski.

Zaproponował on Kąsiorkowi reklamę, a kiedy rzemieślnik odpowiedział, że dla niego najlepszą reklamą jest solidny wyrób, p. Malczewski sięgnął do arsenału pogróżek.

Oświadczył, że przecież nieogłoszenie się może spowodować zamieszczenie go na liście firm, **utrzymujących kontakt z żydami.** Ale rzemieślnik niewiele się tem wzruszył i odmowę potwierdził. Nazajutrz Malczewski zgłosił się jeszcze raz, wówczas już zupełnie niedwuznacznie groził... że jeżeli nie otrzyma pieniędzy, to w sprawę **wda się prokurator.** Nie minęły dwa dni, kiedy Malczewski poraz trzeci odwiedził Kąsiorka, tym razem wrzuciwszy tylko numer „Warty", uciekł pośpiesznie.

Sędziwy rzemieślnik z przerażeniem zobaczył, że na łamach pisma figuruje jego nazwisko i to ni mniej ni więcej, tylko w całym artykule, którego autor donosił, że Kąsiorek dopuścił się **znieważenia Narodu Polskiego** i, że każdy Polak. który przestąpi próg jego sklepu będzie tak samo napiętnowany, jak i sam rzemieślnik.

Tego już było za wiele! Kąsiorek udał się do adwokata, zaś adwokat skierował do sądu **skargę o zniesławienie.**

Na ławie oskarżonych zasiadł redaktor odpowiedzialny „Warty" Władysław Jakób Mizerski. Mizerski nie przyznawał się do winy, twierdząc że pobudki działania „Warty" **były szlachetne.** Do redakcji zgłosił się Malczewski, który zameldował redaktorowi naczelnemu Kwiatkowskiemu, że Kąsiorek dopuścił się znieważenia Narodu Polskiego. Redaktor Kwiatkowski postanowił złożyć skargę do prokuratora, **ale przedtem opisał cały wypadek!** Najbardziej charakterystyczne były zeznania samego Malczewskiego, typa o lombrosowskiej twarzy, charakterystycznego przedstawiciela pomniejszych płotek w wielkiej rodzinie akwizytorów - szantażystów. Malczewski opowiadał o tem na wstępie, że „Warta" **jest pismem udziałowem i jego współpraca ma też charakter udziałowy.**

O dziwnych stosunkach panujących w tej dziwnej redakcji, wymownie świadczy fragment zeznań Malczewskiego:

Sędzia Wiśniewski: Czy otrzymuje pan wynagrodzenie za ogłoszenia?

Świadek: Tak.

Sędzia Wiśniewski. A czem pan zasadniczo zajmuje się?

Świadek. Zbieram ogłoszenia, **pozatem jestem reporterem i zbieram artykuły.**

W rezultacie p. Mizerskiemu zaaplikował sąd **2 miesiące więzienia.**

(j.).

„Dyrektorzy" spod ciemnej gwiazdy

Jeszcze jeden kwiatuszek z branży filmowej

Pisząc na innem miejscu o przedziwnie zabagnionych stosunkach panujących w naszej branży filmowej, nie możemy pominąć milczeniem niesłychanie skandalicznych historyj rozgrywających się za kulisami warszawskich biur zagranicznych wytwórni filmowych.

Oto w jednym z takich biur amerykańskich, jegr dotychczasowy dyrektor, ongiś sławny w całej Galicji **ze sprzedaży doskonałych wódek,** został przez centralę berlińską odwołany ze swego stanowiska.

Jednocześnie, jeszcze podczas urzędowania odwołanego dyrektora, centrala berlińska przysłała do Warszawy z Barcelony nowego dyrektora, rodowitego zresztą Hiszpana, który, korzystając z urzędowania swego poprzednika miał się zapoznać z polskim oddziałem, aby potem tem aktywniej pracować.

Hiszpan pozostawił w Barcelonie syna, do którego regularnie co parę dni wysyłał listy.

W jednym z tych listów, napisał, że prawdopodobnie nie będzie mógł w najbliższych czasach przyjechać do Barcelony, bo w warszawskim oddziale jest mnóstwo pracy, a zresztą za parę dni przyjeżdża do Warszawy dyrektor naczelny z Berlina i wskutek tego prawdopodobnie Hiszpan nie będzie miał nawet czasu aby pisać do syna. Wspominając o przyjeździe naczelnego dyrektora, przybysz nazwał go dość mało zaszczytnie: **„starym idjotą".**

Przyzwyczajony do nieco innych metod, panujących na zachodzie Europy, Hiszpan ani przez chwilę nie przypuszczał aby listy jego podlegały „cenzurze" ustępującego kierownika warszawskiego oddziału, który, jak łatwo się domyśleć pałał nienawiścią do przybysza.

List ze... „starym idjotą" lwowski filmowiec wódczany, zamiast do Barcelony, **przesłał do... Berlina,** do centrali na nazwiska naczelnego dyrektora, który Hiszpana natychmiast zwolnił z zajmowanego stanowiska, usuwając zresztą również usłużnego podwładnego, któremu, jak widać „cenzura" listów kolegi niewiele pomogła.

Historyjka ta jest jeszcze jednym dokumentem potwierdzającym naszą opinję o... gangsterach filmowych. **(o)**

(Dokończenie ze str. 3-ej).

należało tylko wypełniać rok rocznie, do osieroconego przez ś. p. Fr. Jurjewicza przybytku wkroczył uroczyście święty Biurokracy. Natworzono posad i urzędów, zaangażowano ludzi potrzebnych i niepotrzebnych zgoła, a płace wyznaczono im bardzo hojne. Tysiąc, tysiąc dwieście złotych miesięcznie, przez cały rok, choć wyścigi trwają najwyżej pół roku, pobierają wyżsi urzędnicy, a otacza ich coraz większe grono sił pomocniczych płci żeńskiej i męskiej, które też nie mają prawa uskarżać się na swe uposażenie.

Budżet Towarzystwa wytrzyma wszystkie te wydatki i ciężary, a że w takich warunkach trudno jest wkładać zbyt wiele w urządzenie nowego toru na Służewcu, to może i lepiej, bo poco się śpieszyć z opuszczeniem miasta.

Rozumie się, iż podobna gospodarka budziła rozmaite zastrzeżenia ze strony władz nadzorczych, a zwłaszcza ze strony Ministerstwa Rolnictwa; w sferach urzędowych kiełkowały coraz to nowe projekty zreformowania Towarzystwa. Jeden z tych projektów stał się ostatnio ustawą, nie wydano jednak dotychczas rozporządzenia wykonawczego, trudno jest więc narazie sądzić, jakie zmiany wprowadzi w dotychczasową gospodarkę hrabiowskiego folwarku nowa ustawa.

Jedno jest jednak pewne, że skończy się okres setek dotowanych reprezentacji, że pensje, jeśli nawet nie zostaną zrównane z zarobkami innych pracowników, to przynajmniej należycie będą okrojone, że osiągane z hazardu pieniądze znajdą wreszcie odpowiedniejsze przeznaczenie, niż popieranie podupadłych arystokratów i ich satelitów. **Skiz.**

W związku z tendencyjnie rozsiewanemi pogłoskami, komunikujemy wszystkim zainteresowanym, że od firm omawianych na łamach naszego tygodnika ogłoszeń ani artykułów reklamowych bezwzględnie nie przyjmujemy

KRZYSZTOF MIŁOSZ

MILJONY

2.

Powieść

Fakt ten w jej oczach wybitnie poniżał męża, ale... jak zwykle w takich wypadkach, całą odpowiedzialność składało się na... wolę Boską.

I kiedy pani Marcysi, pod wpływem budującej lektury „Po ślubie porwanej“, „Kochanek margrabicza“ czy innych „Chłopców z dalekiej krainy“, śnił się jakiś wykwitny książe w czerwonym samochodzie (musiał być koniecznie czerwony, bo pani Krążkowa przepadała za tą barwą), mąż nie odrywał oczu od ksiąg buchalteryjnych, a jeśli zrobił to czasem, to chyba tylko dlatego żeby spojrzeć ponad okularami na zbyt natarczywego klijenta, czy też w zamyśleniu zerkać na szklankę z mętno - brunatnym płynem, który woźny — Franciszek perfidnie nazywał herbatą.

Może przypominał sobie wtedy zieleń Ogrodu Kupieckiego w Batumie, może mu w uszach dźwięczały melodje romansów wygrywanych przez damską kapelę na werandzie hotelu Francuskiego, w tymże cudownym grodzie, może ukazywała się wizja złocistego szyldu, na którym dłoń miejscowego artysty - malarza wykaligrafowała: Azowsko - Kirgiski Bank, oddział Batum.

A może... poprostu marzył o podwyżce.

Dość, że były to jedyne chwile słabości. Poza niemi, Feliks Krążek do złudzenia przypominał bogobojnego mnicha.

Początkowo próbowała go „rozruszać“ panna Florcia. Napróżno.

Napróżno robiły to czy dla żartu, czy w poszukiwaniu gościa, przelotnie spotykane na ulicach kobiety o niedwuznacznym sposobie zarobkowania.

Feliks Krążek nie widział płci pięknej, a bardzo rzadko widział płeć w osobie swej rozłożystej małżonki.

A jednak...

Kiedyś musiał zgrzeszyć.

Może to było pięć lat temu, może dziesięć. Może w Batumie, a może jeszcze w Charkowie lub znacznie przedtem, za kawalerskich czasów. Dość, że było, nawet z następstwami...

Coprawda, czas, lekarz najlepszy, następstwa pozornie zlikwidował, jednakże co i raz dawały one znać o sobie i wtedy właśnie, Feliks Krążek buchalter fabryki chałwy „Hellada“ odczuwał gwałtowną potrzebę odpoczynku, jakiejś solidnej kuracji...

Niestety. Stale było zamało pieniędzy. Stale jakieś, w pozornie unormowanym budżecie nowe, niespodziewane wydatki.

Aż wreszcie rozeźlił się i postanowił oszczędzić tyle, aby mu chociaż na miesięczne wywczasy starczyło.

Postanowienie było piękne, niestety, z realizacją gorzej, bo w kraju rozpoczął się właśnie jak na złość najgorszy okres kryzysu, chałwa znajdywała coraz mniej odbiorców.

Krążek widział, że Kratokopulos, który niedawno wydał córkę zamąż i który z tego powodu szarpnął się poważnie na posag godny córki greckiego przemysłowca, teraz zaczyna kwękać...

Słowa „ciężkie czasy“ stały się tak nagminne, jak powiedzonko: „co słychać“. Coprawda Grek swemu buchalterowi pensji nie obniżył, ale zato pani Feliksowa coraz częściej narzekała na wzrastającą drożyznę. Mąż miał wtedy jedyny argument:

— To co ma mówić stary?

„Stary“ oznaczało w małżeńskim słowniku — Kratokopulos.

— Stary? — replikowała z miejsca Krążkowa, — żebyś ty tyle zarabiał...

— Ale my jesteśmy tylko we dwoje, a on ma i żonę, i tej zamężnej córce jakąś tam rentę płaci, i drugą ma jeszcze na wydaniu, i kochankę ma!

Ta właśnie kochanka była dla Krążka koroną potęgi szefa.

To, że Grek był szefem, że miał pieniądze, że był właścicielem fabryki, że miał elegancko urządzone mieszkanie w al. Ujazdowskich, dokąd mu Krążek raz w życiu woził jakiś bilans, że wreszcie miał własny samochód, to wszystko było niczem w porównaniu z... kochanką.

Od najdawniejszych czasów, posiadanie prócz prawowitej małżonki, kochanki, było dla Feliksa Krążka czemś nadzwyczajnem, czemś zakrojonem na miano książęcego gestu.

Pamiętał, że w Batumie dwu ludzi miało kochanki.

Policmajster i dyrektor towarzystwa naftowego „Kazbek“ Iwan Aleksandrowicz Ułaszenko. Ci dwaj byli dla buchaltera szczytem doskonałości, szczytem wykwintu, rozrzutności oraz bon tonu.

Kratokopulos miał również kochankę.

Krążek nie wiedział kim zacz była ta młoda, zgrabna dziewczyna, która kiedyś w zimowe popołudnie przyjechała do szefa, do fabryki. Wiedział natomiast, że kiedy przeszła obok niego smukła, na bezczelnie zgrabnych nogach, okryta eleganckiem, kosztownem futrem i pięknie woniejąca, buchalterowi w oczach zawirowały barwne spirale i jakieś gwiazdeczki kolorowe a dalekie.

To był szyk.

W pojęciu Krążka, kochanka była czemś niesłychanie kosztownem, więc tym właśnie argumentem zabijał wszystkie sprzeciwy żony, ciułając jednocześnie grosz do grosza na wyjazd.

Nic go nie obchodziło, że wokół panoszył się coraz większy kryzys, że chałwę kupowały jeszcze conajwyżej sztubaki i dziewczęta od modystek i to w dawkach aptekarskich. Dla Feliksa Krążka nagle celem życia stał się wyjazd na miesięczny urlop.

A ponieważ niedarmo nosił pięknie brzmiące imię Feliks, więc wreszcie nadszedł ten upragniony dzień i buchalter firmy „Hellada“ po dziewięcioletniej, nieprzerwanej pracy, wybrał się wreszcie dnia 3-go czerwca na miesięczny wypoczynek do Buska.

W płóciennej torbie podróżnej, tkliwa żona ukryła dwanaście butersznytów, trzy kołnierzyki, termos z leką herbatą, krawat niebieski w pomarańczowe groszki, komplet bielizny jaegerowskiej, na wszelki wypadek (mogą być chłodne dni...), pantofle ranne, brzytwę „Sollingen“, pasek do wecowania, jasiek i szereg innych jeszcze drobnostek.

Potem było pochlipywanie.

Potem serja rad, przestróg i wskazówek.

Potem Feliks Krążek wsiadł do wypchanego już pullmanu 3-ej klasy.

Potem chłopak z „Ruchu“ krzyczał monotonnie: „Światowid“, „Kino“, „Mucha, świeży numer...“

Ktoś komuś wypominał draństwo z wekslem. Ktoś nieśmiertelnie dowcipkował na temat pisania z drogi i przysyłania brudnej bielizny.

Przyjechał ostatni motorowiec z bagażem.

Pani Marcysia miała na tlenionych włosach, które z powodu upału wyglądały jak zlana gumą arabską, mały kapelusik a la Mussolini (rekompensata za wyjazd męża).

Jakiś dzieciak darł się rozpaczliwie niby wyłuskiwany ze skóry. Jakiś brodacz natchniony cwałował galopem.

Pociąg ruszył.

ROZDZIAŁ II.

Wszystkie wywczasy są miłe i ciekawe przez pierwsze trzy, cztery dni. Potem następuje pewne, jakgdyby zobojętnienie, które z czasem powiedzmy po dwu lub trzech tygodniach odpoczynku przeobraża się u osobników wyjątkowo pracowitych w... tęsknotę za pracą.

Bo te pierwsze trzy dni, to łażenie po okolicy, wglądanie w każdy kąt, delektowanie się każdą ruiną czy każdym krzakiem, wygłaszanie hymnów pochwalnych nad pensjonatowemi objadami i t. d.

Dni mijają, nogi bolą, ruiny już się opatrzyły, krzaki są takie jak wszędzie, zupa — lura, mięso łykowate, pokojówka — garkotłuk kradnie wodę kolońską, w bridża grają jak nogi, słowem... nuda!

Beznadziejna nuda odpoczynku w mniej lub więcej znanej miejscowości kuracyjnej.

Czasami nowy gość, ale to krótko, na dwa, trzy dni. Potem...

Chyba, że petent należy do wyższych warstw i pije wódkę. Wtedy to zupełnie co innego.

Niestety, Feliks Krążek wódki nie pił. Próbował coprawda kilka razy, ale zawsze zakrztusił się tak okrutnie, że... dał spokój.

Raz na zawsze.

Wię nudził się w Busku jak mops.

Pensjonat nazywał się „Frywolin“, a jakby na przekór tej pociągającej nazwie, było w nim ponuro i klasztornie. Jakby kto bieg życia wykrochmalił potężnie i obok postawił dwie woskowe gromnice.

Oprócz znakomitego buchaltera, mieszkał tam jeszcze prokurent towarzystwa importu greckich pająków, które następnie sprzedawano w Polsce jako niezastąpione tępiciele pluskiew, emerytowany pułkownik taborów, bezustannie wspominający świetne interesy wojny rosyjsko - japońskiej, muzyk, chronicznie cierpiący na fluksję, poważny, starozakonny brzuchacz, hurtownik papieru, technik dentystyczny ze Stanisławowa, dwie rozpaczliwie brzydkie przyjaciółki, urzędniczki jakiejś izby skarbowej i przerażającej tuszy właścicielka chemicznej pralni w Krakowie na Dębnikach.

Towarzystwo nieciekawe. Jeśli dodać do tego chudą zarządzczynię o rozpaczliwym uśmiechu klaczy chorej na zołzę, otrzyma się całość prawie beznadziejną.

Jak przewidywaliśmy, przez pierwsze trzy dni, Feliks Krażek z zapałem zwiedzał okolice, cierpliwie maszerował po deptaku, punktualnie chodził do kąpieli, słowem... robił wszystko co należało.

Ale — wszystko ma swój kres. Znudzony „turystyką“, próbował konwersacji ze spółlokatorami pensjonatu. Cóż, kiedy prokurent mówił tylko o niezwykłych walorach greckich pająków, pułkownik pod niebiosa wychwalał genjusza Kuropatkina, muzyk nie złaził z wyżyn artyzmu, może dlatego, że nie chciał się z byle kim pospolitować, a może poprostu... fluksja, papiernik kurował się forsownie. A panie?...

Na panie Krążek wogóle niepatrzył.

I nudził się coraz bardziej.

Próbowano grać z nim w bridża, ale bez efektywnych rezultatów. Buchalterowi ani w głowie były karty, a poza tem — oszczędność głęboko zakorzeniona też miała coś do powiedzenia.

Beznadziejność tego odpoczynku bardziej jeszcze podkreślił niespodziany fakt.

Któregoś dnia Feliks Krążek spotkał na deptaku ni mniej ni więcej, tylko... swego szefa z kochanką.

Pociemniało mu w oczach. Przedewszystkiem z przysłowiowej służbistości, a następnie, olśniła go po raz wtóry idealnie zgrabna sylwetka młodej dziewczyny.

Ukłonił się nisko, a wzamian usłyszał:

— Dzień dobry, panie Krążek.

To powiedział sam dyrektor, lekko uśmiechając się.

Minęli go, poszli, a Krążek stał w dalszym ciągu na środku deptaku, jakby zaklęty w słup soli i z trudem rozważał dlaczego to szef mówiąc mu „dzień dobry“ — uśmiechnął się.

— Jak pan pułkownik myśli, — zainterpelował w pensjonacie starego wojaka, — dlaczego on się uśmiechnął?

Pułkownik przymknął do połowy kurze oczki i wachlując wiechciami siwo-jajecznicowatych wąsów, zauważył:

— Jasne, nie podobało mu się.

— Jakto?... — Krążek zerknął niedowierzająco.

— Jak się uśmiechnął?

— No, zwyczajnie, ustami.

— Ja wiem kochany panie Krążek, że nie brzuchem, ale jak? Przyjacielsko, sarkastycznie, złośliwie?...

Na takich niuansach to już buchalter nieznał się.

— Ot, poprostu... uśmiechnął się, — powiedział niechcąc przyznać się do nieznajomości ludzkich uśmiechów

— Powiada kochany pan, poprostu, to znaczy niedobrze. To znaczy nawet bardzo źle... — cedził twardo entuzjasta wojny japońskiej.

—Ale dlaczego? (d. c. n.).

(Dokończenie ze str. 4-ej).

skalkulowałem, — odparł, nie tracąc równowagi sprytny „reżyser“.

— Nie chodzi mi w danym wypadku o kalkulację, lecz ja powiedzmy nigdy nie ryzykowałbym rozpoczęcia praktyki... ginekologicznej!

Na tem skończyły się pertraktacje o gotówkę. Film utknął.

Dzisiaj podjęto znów jego robotę, **zmieniając z gruntu obsadę**, ba zmienionoby napewno nawet tytuł, gdyby nie obawa, że takie salto może zaprowadzić direct do... kryminału, bo jednak znalazło się kilku naiwnych kiniarzy, od których „producenci“ potrafili wyłudzić drobne zaliczki.

Chcemy wierzyć, że nowi ludzie wprowadzeni do „wytwórni“ p. Łowicza i Itingsona potrafią zrobić coś z zapoczątkowanej przez swych poprzedników brechty. Tak czy inaczej, koleiny któremi telepie się „polski“ film są **tak wyboiste, tak jaskrawo skandaliczne**, że wszyscy, którym na sercu leży stworzenie produkcji prawdziwej, godnej ponad 30-miljonowego narodu, z szczerem utęsknieniem wyczekują nowych, uczciwych, inteligentnych ludzi, którzy ten nieszczęsny film polski potrafiliby wyprowadzić na mniej więcej gładką drogę.

Nie chcemy łudzić się zbytnim optymizmem. Smutny przykład wytwórni „Panta - film“, niefortunne posunięcia pełnego dobrej woli i gotówki inż. Gulanickiego, wszystko to każe nam bardzo sceptycznie odnosić się do prób przewentylowania branży filmowej, z drugiej jednak strony nazwisko **naczelnego dyrektora nowej spółki akcyjnej p. Chamca**, długoletniego dyrektora naczelnego Pol. Radja i brak obok tegoż nazwiska, nazwisk pp. Ordyńskich. Weszyńskich, Łowiczów, etc. każe nam wierzyć, że coś się zmieni, i to zmieni na lepsze...

Qui - qui.

Tydzień ubiegły

Dzisiejszy „tydzień ubiegły“ chcemy rozpocząć od następujących, jakgyby tytulików: „Marnotrawstwo gospodarki publicznej w Polsce“, „biurokracja w Polsce ogarnięta szałem popisu i reklamy“. Ale jednocześnie, dla wiadomości pp. cenzorów dodajemy pośpiesznie, że tytuliki te, to nie nasz wynalazek, lecz ipsissima verba p. Ministra Ignacego Matuszewskiego, naczelnego redaktora „Gazety Polskiej“, wydrukowane dwukrotnie w tem piśmie: pierwszy raz dnia 29-go września 1935 roku, a następnie dosłownie powtórzone przed paru dniami w numerze wielkanocnym „Gazety Polskiej“ z dnia 11-go kwietnia b. r. (Nr. 102, str. 2, szpalta 2, wiersz 15 i następne do dołu). By nie było żadnych nieporozumień i by nam nie zarzucano, że przekręcamy cytaty, powtórzymy jeszcze raz dosłownie dwa kolejne zdania:

„Marnotrawstwo gospodarki publicznej w Polsce jest nadal olbrzymie. Biurokracja w Polsce jest nadal ogarnięta w wielkim stopniu szałem popisu i reklamy“.

Mamy tu dwa bardzo ciekawe momenty naszej współczesnej rzeczywistości, o których możnaby wiele, bardzo wiele powiedzeć. „Olbrzymie marnotrawstwo“ i „Szał popisu i reklamy“. Przecież z objawami tymi właśnie my walczymy śmiało od 13 tygodni. Niestety kropki nad „i“ nigdy nie pozwolono nam postawić. Ograniczymy się zatem w naszych rozważaniach do zakresu czysto teoretycznego, w jakich rozmiarach i na jakim terenie widoczne jest to marnotrawstwo i ten szał reklamy?

Mamy nadzieję, że w całej Polsce nie znajdzie się tak naiwny intrygant, któryby się łudził, że trafi na takiego idjotę, który mu uwierzy, iż to, o czem piszemy, dotyczyć może choćby w najmniejszej mierze obecnego Rządu. Przeciwnie. Uważamy, że obecny Rząd, to Rząd walki z marnotrawstwem i szałem reklamy. Dawno już nie widzieliśmy w Polsce zespołu ludzi, pracujących tak ofiarnie i z takiem samozaparciem, jak dzisiejsi sternicy nawy państwowej. Ostatnie energiczne pociągnięcia oszczędnościowe i zrównoważenie budżetu mówią zresztą same za siebie.

Jeśli zaś chodzi o autoreklamę, to — na Boga — dzisiejsi ludzie z Krakowskiego-Przedmieścia czy Rymarskiej, to chyba najcichsi pracownicy, o których tyle tylko wie się, że pracują i widzi się efekty ich pracy, a zresztą mniej swoją osobą zajmują społeczeństwo, niż różni trybunowie, żyjący wesoło z pieniędzy publicznych, które czerpią z niewiadomej racji.

Szary dziennikarz żyje w społeczeństwie i zna je od samego spodu. Nie patrzy się na życie z chłopakrólewskiego piedestału, z biesiadnych foteli ani z okien luksusowych limuzyn. Widzi wszystko bezpośrednio. Widzi tych, może nawet nie kilkuset, a nawet kilkudziesięciu, którzy usadowili się mocno na różnych terenach Rzeczypospolitej, przez nikogo nie popierani, przez wszystkich znienawidzeni a jednak silni, dzięki jakiejś niezrozumiałej psychozie.

Tereny ich są różne. Są i tereny geograficzne, sporo jest jednak innych terenów specjalnych działalności, a więc przemysłowy, bankowy, prasowy...

Szkoda jednak, że pan Ignacy Matuszewski nie zajął się właśnie tymi, których cała opinja publiczna oskarża o marnotrawstwo w gospodarce publicznej i o szał popisu i reklamy. Może zresztą nie mieściło się to w ramach jego artykułu pt. „Pięć miesięcy „deflacji“, artykułu bardzo mądrego, pełnego wysokiej erudycji, choć może zbyt świeżo nabytej, z którego się również dowiadujemy, że pan senator prof. Leon Kozłowski jest autorytetem gospodarczym, którego warto cytować.

Mniejsza zresztą z tem. Mamy nadzieję, że wkrótce tego rodzaju autorytety staną się przedmiotem archeologji, na której — jak niektórzy mówią — p. sen. Kozłowski naprawdę zna się.

Ignis.

Czyżby naprawdę?...

... na stanowisko korespondenta Polskiej Ajencji Telegraficznej i „Gazety Polskiej“ w Moskwie, opróżnione od chwili wyjazdu p. Otmara - Bensona, miał wyjechać już w dniach najbliższych red. Haczyński, b. urzędnik M. S. Z.?

✶

... dyr. Janina Korolewicz - Waydowa sfinalizowała umowę w sprawie prowadzenia stałego teatru operetkowego przy ul. Karowej?

✶

... dotychczasowy szef biura prasowego Zarządu Miejskiego, znany literat Jerzy Kossowski zrezygnował z dotychczas zajmowanego stanowiska? Red. Kossowski w końcu b. miesiąca wyjeżdża ponoć na stałe do Brazylji.

✶

... na terenie stolicy, mniej więcej od roku grasował sprytny aferzysta filmowy, który zdołał już ponaciągać setki osób? „Filmowiec“ ten przybył z Jugosławji, legitymując się kantami prasowemi różnych zagranicznych wydawnictw filmowych. Legitymacje te ułatwiły mu nawiązanie kontaktu z branżą filmową. Gość w krótkim, stosunkowo przeciągu czasu założył 4 fikcyjne biura filmowe, nigdzie ich oczywiście nie rejestrując, natomiast wykorzystując istnienie tych firm dla... wynajmu nieposiadanych filmów. M. in. „Stradivari“, Kradzież Monny Lizy“, etc. Obecnie, sprytny „businessman“ z filmowego grzęzawiska, naciąga swych spólwyznawców na filmy ze znanym śpiewakiem polskim.

✶

... pracująca od lat na terenie Polski wywiadownia handlowa prowadzona przez dawnego funkcjonarjusza niemieckich władz administracyjnych w okresie okupacji Królestwa Polskiego, obecnie utrzymywała aż nazbyt ścisły kontakt z jednym z naszych zachodnich sąsiadów?

✶

... zmiany, jakie mają nastąpić w „Orbisie“ obejmują również naczelną dyrekcję, przyczem na stanowisko zajmowane obecnie przez p. Fularskiego, przyszedłby rzekomo p. Zagrodzki, dotychczasowy dyrektor lombardu miejskiego?

✶

... nowopowstającą akcyjną spółkę filmową na czele której stanął długoletni dyrektor naczelny Pol. Radja dr. Chamiec, zainteresował się nader poważnie wielki kapitał angielski? Wiadomość ta wydaje się o tyle bardziej prawdopodobna, że dyr. Chamiec jest wyjątkowo popularną i cenioną postacią w świecie brytyjskiej finansjery.

✶

... znany z rozmaitych „wyczynów“ na terenie branży filmowej Aleksander Łowicz-Fajwlowicz przystępuje do nowej afery? Jego wspólniczka p. Okszańska dyżuruje od kilkunastu dni u Loursa, „angażując“ artystów do nowego, opartego o duże kapitały (?) filmu. P. Okszańska wymaga aby artysta miał smoking lub frak, ubranie wizytowe i sportowe oraz należał do ZASP'u Gaża — 7 złotych dzienie. Ciekawi jesteśmy czy znajdą się naiwni, którzy uwierzą w talent reżyserski tej pary (o której notabene piszemy obszerniej na innem miejscu) i w możliwości realizowania przez nią jakiegokolwiek filmu.

✶

... znany doskonale naszym Czytelnikom senator Karszo - Siedlewski, znakomity producent wódki pod nazwą „Jeszcze raz“ i koniaku „Carcheau“ opuścił zajmowane dotychczas, kierownicze stanowisko w Zakładach Ostrowieckich?

✶

... znana z „Narcyza“, „Kakadu“ i in. lokali nocnych „artystka“ parkietowa sławna Hela Malinowska występowała w chwili obecnej w jednym z największych lokali budapeszteńskich jako reprezentantka... narodowego tańca i piosenki polskiej? Jeśli tak jest w rzeczywistości, możeby jednak zajęła się tą wysoce kompromitującą reprezentacją nasza placówka dyplomatyczna przy rządzie królestwa Węgier.

FRASZKI

NA PRZYJAŹŃ Z NIEMCAMI

Polak — Niemiec dwa bratanki
Bra — nierozumiem
Rozumiem — tanki.

O POLSKICH MASONACH

Dziewięćdziesiąt dziewięć na sto — każdy, (choć się kryje)—
Żyd, lub ma żydówkę żonę, czy z żydówką — żyje.

NA „LIGĘ OBRONY PRAW CZŁOWIEKA I OBYWATELA“

Czy to jest ta sama, która
Bliższa M. O. P. R'u, niźli T. U. R.'a?

NA „ZJEDNOCZONY FRONT LUDOWY“

Czy to front — ludowy —
Czy — kominternowy?

NA KADENA

Taki, proszę pana —
Julek od Szyfmana.

NA TEGOŻ

A gdy przeminie Kadencja Kadena —
Wzrośnie frekwencja i odżyje scena.

PO NIEPRZYZNANIU WAWRZYNU P. A. L. — SŁONIMSKIEMU

Tak to już jest niestety — źle, niemiło, smutnie...
Nie zakwitnie tam bobek — gdzie raz rebe utnie!

O. Set.

Smutna „sława" p. Murmyłły

Niezbyt życzliwie mówią o nim ludzie

Był, żył i pił starosta powiatu Włocławskiego o dźwięcznem nazwisku Murmyłło.

Coprawda bawi teraz na pokucie w jakimś powiecie Małopolski Wschodniej i to w szarży tylko referencika, **ale „sława“ czynów jego** długo jeszcze będzie tłukła się z kąta w kąt powiatu włocławskiego, przekazywana z ust do ust przez wścibskich i ciekawskich, będących tych wyczynów świadkami.

Los łaskawy zetknął mnie z jednym z nich więc przekazuje opowiadanie swoje dalej, ku ogólnemu pożytkowi i, powiedzmy wyraźnie, dla ostatecznego skompromitowania człowieka, **który nie powinien być nietylko kawalerem krzyżów, ale nawet urzędnikiem państwowym.**

Pan Muhmyłło pije. Ba, wielu ludzi pije. Piją dostojnie, szaleńczo, wesoło, głupio ale rzadko kto pije tak po chamsku i ordynarnie.

Każda uroczystość była powodem do pijaństwa pana starosty zakończonego stale i tradycyjnie obżyganiem wszystkich kątów sali, jak to miało miejsce na bankiecie dla wojska.

„Sława“ Murmyłły przedostała się nawet zagranicę w formie notatki w prasie niemieckiej zatytułowanej: „Gościnność pana starosty“.

Powodem tej wzmianki było następujące wydarzenie:

W okolicach Włocławka opadło kilka balonów niemieckich wraz z załogą. Starosta przyjechał na miejsce i zaprosił niemieckich lotników na kolację do restauracji. Nie dość na tem, się upił się do nieprzytomności, ale **cały koszt kolacji pokryli... Niemcy,** a starosta kazał sobie na dodatek z tejże restauracji odesłać na swój domowy użytek parę butelek wódki i wina, przesyłając rachunek do sejmiku celem pokrycia rzekomych kosztów przyjęcia dla Niemców. Dochodzenie w tej sprawie **prowadzi prokurator w Toruniu.**

Głośna też była sprawa zgwałcenia przez tegoż starostę nieletniej dziewczynki. Miał jeszcze wówczas wpływy i stosunki więc sprawę zatuszowano. Jak była ona głośna jednak świadczy fakt, iż dotychczasowe słowo „gwałcić“ zastąpiono w powiecie włocławskim **nowotworem językowym „murmlić“.**

Społeczeństwo włocławskie oceniło doskonale wartość moralną pana Murmyłły.

Gdy w roku 1934-ym biskup Radoński obchodził 25-cio lecie kapłaństa, stanowczo poprosił aby na tę uroczystość **nie zaproszono starosty.** Poważniejsi obywatele również unikali zetknięcia się na gruncie towarzyskim z panem starostą.

Wreszcie „...ponieśli i wilka“, chociaż zaprawdę w interesie prestiżu Rzeczypospolitej bardziej pasowałby „panu staroście“ kryminał niż stanowisko chociażby najniższego funkcjonarjusza w administracji państwowej.

Q.

Dokąd warto, dokąd nie...

Teatr — Rewja — Kino

„Spadkobiercy“ (Teatr Narodowy). — Czary p. Grzymały na temat problematycznych walorów naszej szlachty nikogo już dzisiaj nie przekonają. I gdyby nie Ćwiklińska, spektakl w Narodowym możnaby zaliczyć do grupy najnudniejszych z bogatego w tej dziedzinie asortymentu T. K. K. T. Węgrzyn z Zelwerowiczem usiłują dorównać wyżynom, na jakie swym niepowszednim talentem wzbiła się przeurocza „Ćwikła“. Dla niej samej warto, mimo wszystko pójść do Narodowego, kupując nawet pełny bilet.

„Rodzina Massoubre“ (Teatr Polski).— Mimo pochwał p. Skiwskiego przedstawienie w Teatrze Polskim jest nudne, męczące a chwilami wręcz przykre. Brechty inscenizacyjno - reżyserskie bardziej nerwowych, doprowadzają do białej gorączki, resp. wypicia, podczas spektaklu, paru głębszych „pod Karasiem“. Jak zwykle, T. K. K. T. wystawiając ponurą szmirę, daje jej, dla równowagi świetną obsadę.

Tak jest i z „Rodziną Massoubre“, gdzie Stępowski stwarza kapitalny majstersztyk. Dzielnie sekundują mu: Chmielewski i... już po raz drugi na scenach warszawskich nadspodziewanie dobra Piaskowska. Dopuszczalny niedrogi bilet ulgowy, resp. kartka za 2 zł.

„Pierwszy występ Jenny“ (Teatr Letni).— Po świątecznem obżarstwie rzekoma „komedja“ p. Ellisa działa niby... reformackie pigułki na przeczyszczenie. Chce się po niej spać i sen będzie grubo przyjemniejszy od ponurej, „komedjowej“ rzeczywistości zaprezentowanej nam przez Teatr Letni. Z wybornej trójcy: Dulęba, Romanówna, Znicz, na czoło wysuwa się jednakże Romanówna, potwierdzając temsamem nasze twierdzenie, że Dulęba niema szczęścia do TKKTciarskiego sanhedrynu.

Kupno pełnego biletu, nawet w pijackim, świątecznym zwidzie jest postępkiem wręcz karygodnym. **Widz.**

„Panowie w cylindrach“ (Kino „Europa“). — Amerykańska wytwórnia R. K. O. nie jest jeszcze zapisana „złotemi zgłoskami“ na polskim rynku, gdyż dotychczasowe jej filmy nie były bynajmniej perłami, a „Panowie w cylindrach“ niewiele mają wspólnego ze sztuką filmową, a nawet wogóle z **filmem.** „Panowie w cylindrach“ chyba tylko dzięki zwyrodniałemu gustowi Amerykan dostały się na listę dziesięciu najlepszych filmów roku 1935.

„Top Hat“ posiada szereg pierwszorzędnych zalet, z których na pierwszy plan wysuwają się produkcje taneczne fenomenalnej pary: Freda Astaira i Ginger Rogers, oraz cykl kapitalnych momentów jazzowych kompozycji Irvinga Berlina, którego niepotrzebnie reklamują, jako Polaka.

Kto więc lubi te oszałamiające efekty taneczno-jazzowe, będzie ich miał... aż za dużo. Naogół film ten... nie jest filmem, a raczej rewją, w której niestety nie brak momentów trywjalnych.

W każdym razie dziwić się należy, że w chwili, kiedy na ekranach naszych gości szereg filmów naprawdę wartościowych, zarówno co do treści, jak i wykonania, Syndykat Dziennikarzy uważał za stosowne „protegować“ właśnie „Panów w cylindrach“...

„Róża“ (Kino „Bałtyk“.) — Widz nerwowy i bardziej wrażliwy mógłby na „Róży“ nie usiedzieć do końca... i nie miałby racji. Jeśli bowiem początkowe sceny z dziecinnemi makietami, watowym śniegiem i gierkami z kiepskiego teatru są okropne, to dalszy ciąg filmu jest naprawdę piękny i zawiera szereg kapitalnych epizodów.

Wracając jeszcze do owego początku, zwrócić należy specjalną uwagę na fatalną akustykę zdjęć na balu, gdzie niesposób zrozumieć ani słowa. Kiedyż nareszcie nasi „mixerzy“ nauczą się zręcznie nakładać mowę na muzykę? Mogliby pójść na naukę do Polskiego Radja!

Trzeba przyznać, że „Róża“ posiada szereg momentów wprost kapitalnych, podkreślonych doskonałą grą artystów — z małemi wyjątkami.

Niezrównana jest scena przy fortepianie, dalej scena Czarowica z Anzelmem w celi, przesłuchanie Osta u naczelnika policji i t.d. Doskonała jest również scena widzenia Anzelma z synkiem za kratami, niestety żywcem wzięta z filmu „Katiusza“ Mamouliana.

A teraz wykonawcy: znakomity jest Junosza - Stępowski w roli naczelnika policji, świetny i głęboko ludzki Znicz w roli Anzelma, bardzo dobry Jaracz w roli Osta, również bardzo dobry Zacharewicz w roli Jana Czarowica. Nareszcie właściwie obsadzono Żelichowską i Cybulskiego: w epizodach. Oboje wywiązali się z zadania doskonale. Odznaczyli się także: Damięcki (Dan) i Hajduga (drwal). Natomiast Eichlerówna i Samborski są bardzo słabi. Oboje grają i wyglądają źle.

W sumie: film dobry, nie dorównywujący wprawdzie „Młodemu Lasowi“, ale w każdym razie przynoszący zaszczyt naszej kinematografji, która bardzo takich filmów potrzebuje.

Nadprogram: fenomenalna Betty Boop, jedna z najlepszych, jakie dotąd oglądaliśmy.

„Wesoły Jubileusz“ (Kino „Roma“). — Pełne uznania należy się dyrekcji kino - teatru „Roma“ za usiłowanie stworzenia czegoś w rodzaju „kina repertuarowego“. Polega to na tem, że dyrekcja układa programy w inteligentny sposób, dając inny film popołudniu, inny na seansach wieczorowych, a wreszcie w święta jeszcze inny.

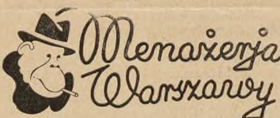
Chwalebna jest również intencja dyrekcji kina „Roma“ dawania popołudniu specjalnych programów dla dzieci, natomiast skandalem nie do darowania jest okraszanie programu wstępnemi objaśnieniami, wygłoszonemi z balkonu przez jakąś paniusię, która opowiada dzieciom to, co jest napisane na ekranie, albo też prawi morały w górnolotnych, zupełnie niedostępnych dla dzieci frazesach. A przytem zupełnie już oburzający jest fakt urywania części dźwiękowej filmów na korzyść tego „ględzenia“.

Przejdźmy teraz do samego programu, który składał się ze szczęśliwie wybranych pereł kreskowych Walta Disney'a, częściowo już znanych publiczności. Pełne temperamentu i szczęśliwych pomysłów są kreskówki z popularną Myszką Mickey „Miki kowbojem“, „Miki bokserem“ oraz „Robinson i Piętaszek“. Niezrównane w barwach, pomysłach i muzyce są groteski, należące do serji „Silly Symphonies“, jak „Król Midas“, „Wodne Urwisy“, „Kotek — bandyta“ i „Latająca mysz“.

Na „Wesoły Jubileusz“ powinni pójść wszyscy wielbiciele talentu cudotwórcy Walta Disney'a, tembardziej, że bilety są bardzo tanie. Ale kiedy owa „paniusia“ z balkonu zacznie ględzić, można śmiało sykać i tupać.

X. 27.—





Gdyby ktoś nas spytał do jakiego gatunku zwierząt zaliczyć tego człowicka, bylibyśmy w dużym kłopocie. Oczywiście płaz, ale ma w sobie coś ze sroki i liszki.

Między 12-tą i 14-tą spotkać go można zawsze u Lours'a. Mały, brzuchaty przeciska się między stolikami kiwając na wszystkie strony swą żabią główką, o wysadzonych na wierzch oczkach.

Mówi słabo po polsku. Litwak z Wilna, o wiele swobodniej posługuje się rosyjskim i żargonem. Donosi wszystkim o wszystkich. Zawodowy konfident nie cofa się nawet przed prowokacją. Grasuje wśród członków Zawodowych Związków żydowskich. Swego czasu przeszedł na katolicyzm. Jednakże interesy wymagały widocznie czego innego, gdyż niedawno „pan“ konfident znów powrócił na łono judaizmu i nadal łowi płotki w mętnej wodzie. Jest filarem „wywiadu“ jednego z bogatszych banków stolicy, którego wyższy urzędnik zajmował niegdyś stanowisko komisarza w policji politycznej. Powołuje się na wysokie znajomości i szerokie stosunki, a w naszem akwarjum umieszczony byłby w kategorji płazów.

Przed kilkunastu laty był ponoć nawet niezgorszym śpiewakiem, ale... czas robi swoje i dzisiaj, bez wyrzutów sumienia można go zaliczyć do kategorji miernoty szerokim strumieniem zalewającej polską scenę operową.

Chociaż stracił głos, pozostał mu tupet i głowa do interesów. Ze specjalnym talentem potrafi żerować na bezrobociu panującem wśród kolegów po fachu. Ten „numer“ wykorzystywał nieskończoną ilość razy i trzeba przyznać z pełnem dla siebie powodzeniem. Potrafił bowiem nietylko zagadać aktorów spragnionych jakiejkolwiek pracy, ale również t. zw. czynniki miarodajne, które, zwykle na propagandę, dawały mu po kilka czy kilkanaście tysięcy złotych. Że potem z tą propagandą było niewyraźnie, że zamiast np. do Gdyni zespół śpiąc przykładnie wracał do... Warszawy, to inna sprawa.

Faktem jest, że z tych wszystkich, niewątpliwie mistrzowskich „interesów“, jak dotychczas znakomicie wywija się i niby kot zawsze spada na łapy. Tylko jeśli już mamy do kotów go zaliczyć, to do tych mniej przyjemnych... piwnicznych.

Łączka kretynów

Sprawą ZASP'u niejednokrotnie zajmowała się opinja publiczna. Dochodziło nawet czasami do poważniejszych zaognień, np. z Teatrem Artystów, usunięciem Jaracza, etc.

Mimo to ZASP funkcjonuje po dziś dzień i należałoby przypuszczać, że nauczony doświadczeniem, unika niezbyt chwalebnych kompromitacyj.

Gdzietam... Nauka poszła w las, bo oto mamy jeszcze jeden kwiatuszek ZASP'owej gospodarki. W Łodzi umarł aktor teatralny. Czy był dobry, czy miernota, nie pora oceniać, faktem jest, że należał do ZASP'u i jako członkowi organizacji przysługiwało mu t. zw. pośmiertne w wysokości około 1,000 złotych.

Ponieważ zmarłego nie było zaco pochować, zwrócono się telegraficznie do ZASP'u o przesłanie nalcżnej sumy. Czekano dość długo, nawet bardzo długo. Wreszcie — pieniądze nadeszły, ale tylko... 200 zł.

W Łodzi zapanowała konsternacja. Znów zwrócono się do ZASP'u pytając dlaczego przesłał na pogrzeb tylko 200 zł., kiedy regulaminowo należy się znacznie więcej i rodziny aktorów ostatnio zmarłych w Warszawie więcej otrzymywały.

ZASP odpowiedział wówczas, że są różne pogrzeby, inny musi być dla... generała, inny dla porucznika.

Kiepski żart, cynizm, czy poprostu złośliwa plotka, którą chętnie sprostowalibyśmy. **Stary pies.**

Czy pan się nie rumieni?

Stanowczo p. Łowicz niema szczęścia do niniejszego numeru naszego pisma, bo oto w ostatniej chwili dowiedzieliśmy się o jeszcze jednym kwiatku znakomitego „reżysera“ i „producenta“ filmowego.

Onże p. Łowicz poznał w swoim czasie starszawą wdowę - emerytkę p. Dybkową, która lata ciułając nędzne grosze pozostałe z emerytalnej renty, uzbierała sobie około 2,000 zł., co skolei p. Fajflowicz - Łowicz zobowiązał się wydatnie powiększyć, jeśli tylko p. Dybkowa zgodzi się swe oszczędności ulokować w filmie p. t. „U stóp Gewontu“.

Jak łatwo się domyślić, p. Dybkowa na świetną propozycję „producenta“ przystała z radością i p. Łowicz, zainkasowawszy wdowi grosz, pojechał do Zakopanego... kręcić.

Kręcenie trwało dość krótko, bowiem pewnego dnia p. Dybkowa otrzymała list, z którego wynikało, że filmowanie trzeba było przerwać, bowiem zabrakło pieniędzy i jeśli p. Łowicz nie otrzyma nowego zastrzyku gotówki, cały business djabli wzięli...

Co robi naiwna, stumaniona żądzą filmową wdowa Dybkowa?

Korzystając z nieobecności sąsiadki, włamuje się do jej mieszkania, kradnie biżuterję wartości kilku tysięcy złotych, spienięża u paserów i w ten sposób pozyskaną gotówkę posyła p. Łowiczowi. Sąd skazał włamywaczkę na półtora roku więzienia. Ale co będzie z p. Łowiczem? **(j.).**

Skrzynka do Listów

P. „Filmowiec z Łodzi“. — Prosilibyśmy o osobiste porozumienie w godzinach redakcyjnych.

P. „Ubezpieczeniowiec“ w/m. — Osobą dyr. P. zajmiemy się niewątpliwie, jednakże anonimowość Pańskiego materjału nie pozwoli nam zeń skorzystać.

P. Kwiat. Aniela, w/m. — Dziękujemy. Nie skorzystamy.

P. Z. Stef., Siedlce. — Dziękujemy uprzejmie. Przesłaliśmy wszystkie numery, poza 6, który uległ całkowitej konfiskacie.

PRENUMERATA wraz z przesyłką pocztową lub odnoszeniem do domu zł. 6.— kwartalnie, zagranicą zł. 9,— **OGŁOSZENIA:** za wiersz wysokości mm. szerokości 1 szpalty, zwyczajne 60 gr., w tekście 1.20 gr. nadesłane 1 zł., Komunikaty 80 groszy. Kolumna posiada 4 szpalty

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Królewska Nr. 35 m. 20, tel. 6.33-66 czynne codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt od godz. 11-ej do 13-ej
Konto w P. K. O. Nr. 15.581

Redaktor i Wydawca **Włodzimierz Popławski.**

Druk. Nowoświecka, Warszawa, Nowy Świat 57, tel. 2-72-16.